

PARADA

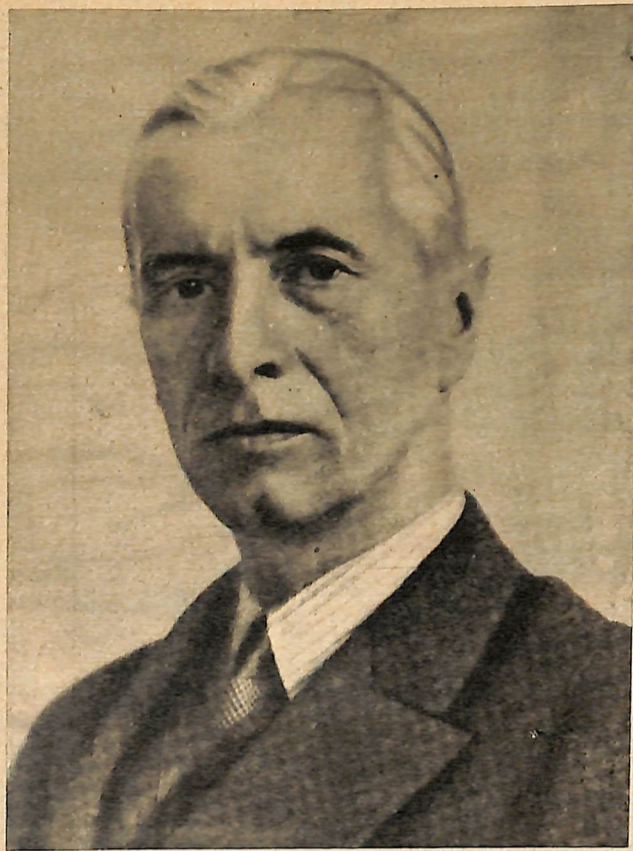


ROK II

NIEDZIELA, 25 CZERWCA 1944 R.
SUNDAY JUNE 25, 1944

Nr 13 (32)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3;5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów



Dzień Św. Władysława, 27 czerwca, jest świętem osobistym

Prezydenta Rzeczypospolitej

Władysława Raczkiewicza

i Generała

Władysława Andersa

Prezydent Raczkiewicz, który od Września 1939 roku, w niezmiernie ciężkich warunkach reprezentuje Państwo Polskie, zaskarbił sobie uczucia szacunku i wdzięczności całego naszego społeczeństwa

Imię Generała Andersa ma dziś w narodzie specjalny dźwięk. Pod jego dowództwem żołnierz polski nie tylko z nędzarza zamienił się w rycerza, nie tylko przemierzył pół świata idąc przez trzy kontynenty, ale odniósł także na ziemi włoskiej zwycięstwo pamiętne na wieki. Jak powiedział w swej depeшы Naczelny Wódz: „przy Generale Andersie są dziś serca i myśli wszystkich uczciwych Polaków”

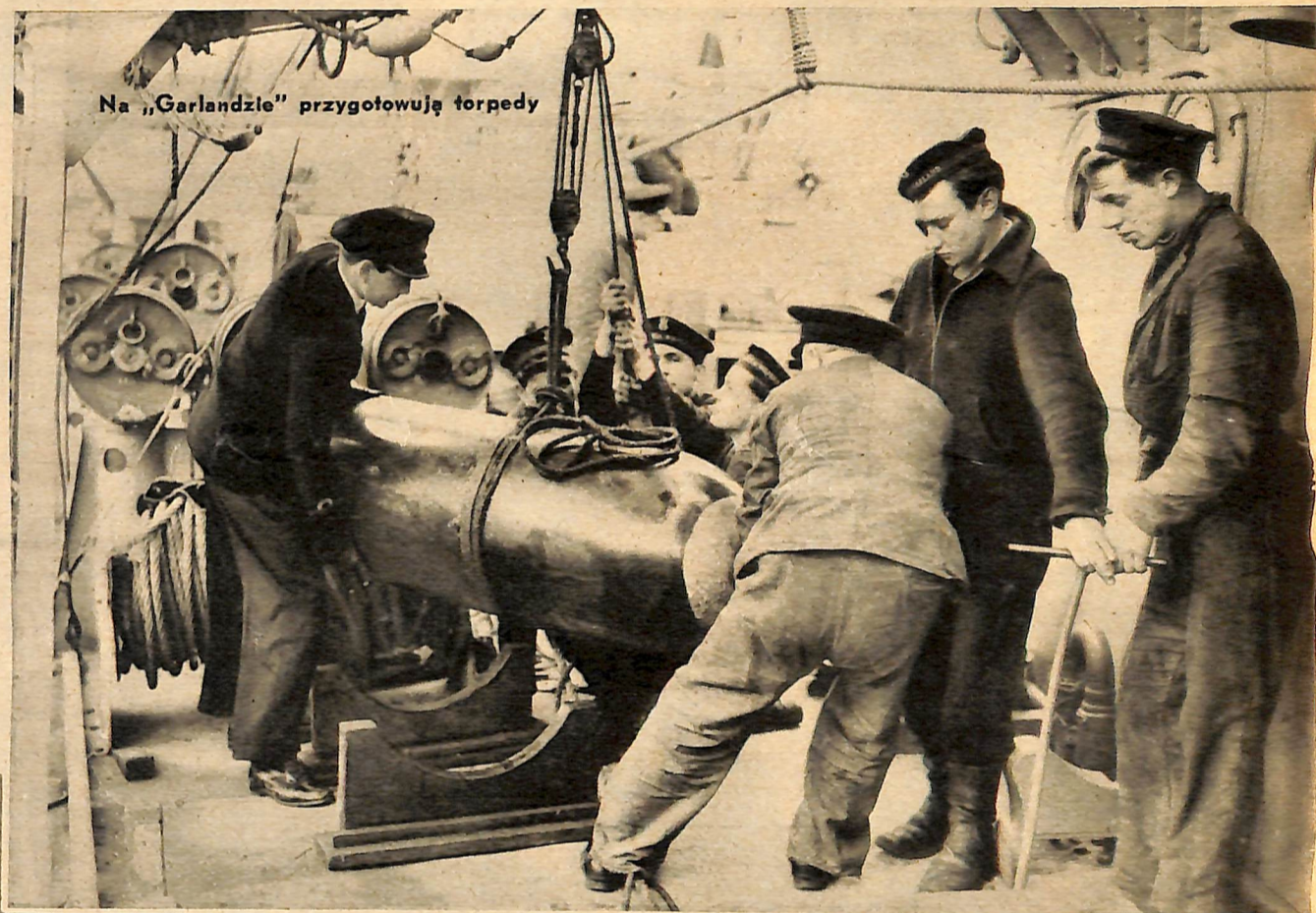
Głowie Państwa i Wodzowi z pod Cassino, żołnierz polski, gdziekolwiek się znajduje, składa w dniu Ich imienin, serdeczne życzenia rychłego i zwycięskiego powrotu do Kraju.



MARYNARKA POLSKA W AKCJI



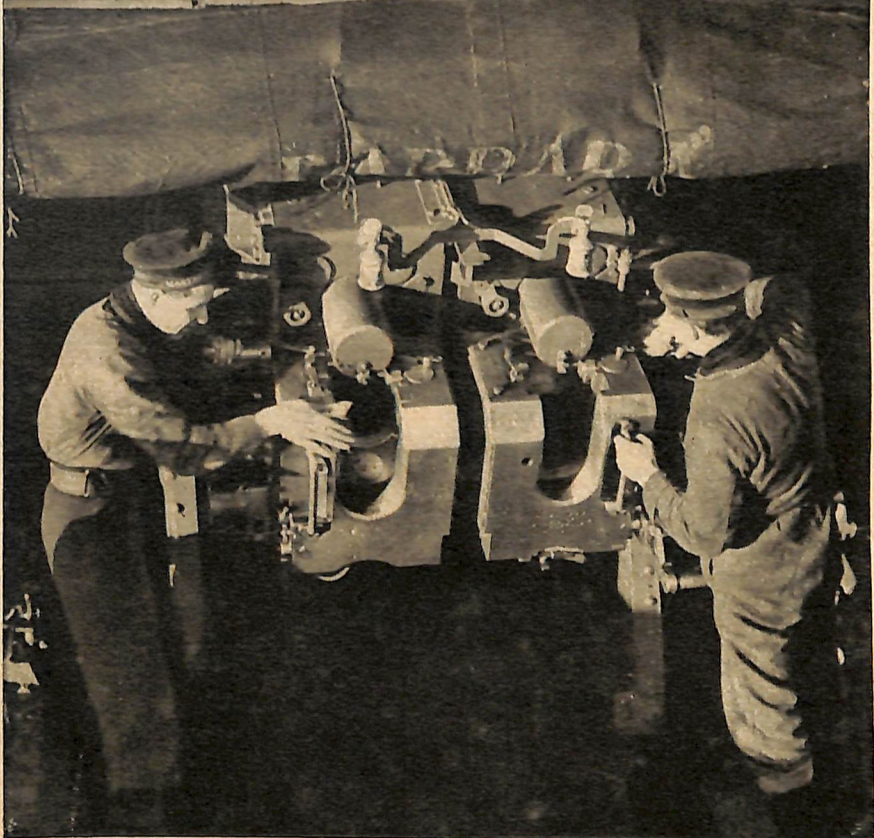
Kapitan ORP „Krakowiak”



Na „Garlandzie” przygotowują torpedy



Na kontrtorpedowcu polskim



Polska Marynarka Wojenna walczy nieprzerwanie od Września 1939 roku, walczy i wyróżnia się na wszystkich morzach. Bierze udział w akcji pod Dunkierką, u wysp Lofockich, pod Calais i Spitzbergen, w wypadzie na Dieppe, w bitwach o Atlantyk, o Maltę, Alger i Tunis, w wyprawie na Sycylię i Włochy. Obecnie znów jest na najważniejszym froncie: uczestniczy w inwazji na francuskie wybrzeża Europy. Marynarze nasi kładą podwaliny przyszłej siły polskiej na morzu. Oni to — jak stwierdził admirał brytyjski Jack C. Tovey, R. N., ówczesny dowódca Home Fleet, zdobyli nam niezaprzeczalne prawo do morza i rozwoju floty, do tego, by Polska stała się mocarstwem również i morskim.



Artylerzyści ORP „Ślązak”

WYBIŁA WIELKA GODZINA

Ponowne otwarcie frontu zachodniego jest niewątpliwie wydarzeniem, które w sposób decydujący zaważy zarówno na dalszych losach wojny, jak i na ukształtowaniu się przyszłego oblicza Europy. Kontynent nasz przeżywa chwile nieznane w swych długich dziejach. Dotychczas Europa chodziła na zdobycze wyprawy, podbijała lub odkrywała inne części świata. Dziś role zasadniczo się zmieniły. U wrót naszego kontynentu, skutego w kajdany przez jeden z jego narodów, stanęły dwa odrębne światy — anglosaski i euroazjatycki narody Rosji. Od tego, który z nich spowoduje rozstrzygnięcie, obalające niemiecką tyranie i zdoła przeprowadzić swój pogląd w kształtowaniu oblicza przyszłego świata zależeć będzie w znacznej mierze, czy porządek europejski odbuduje się na swych odwiecznych podstawach, sięgających poprzez humanizm i chrześcijaństwo do najdawniejszych pokładów kultury helleńskoromańskiej, czy też w pożarach i zgłiszczach materialnego dobytku europejskiej kultury zapadnie się także i to, co nazywamy jej duchem. Od dynamizmu zaś i determinacji, jaką wykażą narody europejskie w tej śmiertelnej walce, od tego, czy potrafią być nie tylko przedmiotem, ale i podmiotem decydującego zmagania — zawisła rola, jaką Europa sama będzie mogła odegrać w budowie przyszłej struktury światowej.

Od wielu lat przywykliśmy myśleć i mówić o chwili wznowienia frontu zachodniego, jako o ostatniej fazie walki w Europie. Zwycięstwo pod El Alamein było według Churchilla końcem początku. Kapitulację Włoch, której doniosłość zresztą o wiele przeceniano, nazwano początkiem końca. Inwazja od zachodu miała zaś według powszechnej opinii być nowym „blitzkriegem”, po którym Niemcom pozostawałaby tylko bezwarunkowa kapitulacja.

Czy tak będzie w rzeczywistości? Czy mają rację ci, którzy już zaczynają pakować walizy, licząc, że najpóźniej, no... na Boże Narodzenie zawitają w zrujnowane choćby, ale przecież tak już upragnione progi rodzinne.

Trudno na to dać odpowiedź. Na przewidywania mamy bowiem zbyt mało elementów, a przepowiednie pozostawmy lepiej wróżbitom. Niewątpliwie jednak Niemcy pomimo wielu klęsk są jeszcze bardzo silni i dalecy od tego, by militarnie uznać się za pobitych. Politycznie zaś, właśnie inwazja daje im — w ich mniemaniu — tak upragnioną, może już ostatnią przy obecnym reżimie szansę zerwania jednolitego frontu Sprzymierzonych i zawarcia kompromisowego pokoju, choćby z jedną z oblegających stron. Jeżeli się nam uda — rozumują Niemcy, zlikwidować desant sojuszniczy, względnie opanować go tak, by poza przyczółki wyjść nie zdołał, będziemy mogli, posługując się w dodatku szantażem zalewu bolszewickiego Europy, uzyskać od mocarstw anglosaskich, którym się przecież bardzo spieszy na wojnę z Japonią, warunki umożliwiające nam utrzymanie naszej potęgi militarnej i pozycji czołowego mocarstwa w Europie. Jeżeli zaś zostaniemy na Zachodzie pobici, to poświęcając Hitlera i górną warstwę partyj-

ną, ogłosimy się republiką komunistyczną i wezwiemy „bratni” już wówczas Związek Sowiecki, by nas bronił przed najazdem faszystowsko-burżuazyjnych i imperialistycznych mocarstw zgniłego Zachodu.

Te i podobne rozumowania muszą się jednak okazać zawodne. Klęska militarna i wszystkie związane z nią konsekwencje nie są dziś dla Niemców do uniknięcia. Wydaje się, że doświadczenia dwudziestolecia, dzielącego dwie wojny, jak i cierpienia, które ludzkość od pięciu lat znosi, nie zostaną zlekceważone. Hitler powtarza od września 1939 roku, że „nie będzie drugiego Wersalu”. Prawdopodobnie będzie miał rację. Wersal nie zniszczył potęgi militarnej Niemców, nie sparaliżował ich aktywności politycznej, nie skruszył ich przemysłu, nie pozbawił ich na Wschodzie terenów, które zagrabili sąsiadom, przede wszystkim Polsce. Dlatego też i my zgadzamy się z tym, że Wersal powtórzyć się nie może.

Rezultatem inwazji Europy i związanego z nią pogromu militarnej Niemiec musi być zniszczenie wszelkich możliwości wywołania przez nie nowego pożaru w Europie. Musi nim też być zabezpieczenie sąsiadów Niemiec, zwłaszcza Polski i Francji przed ewentualną przyszłą agresją ze strony germańskiego imperializmu. Zabezpieczeniem tym, jeżeli chodzi o Polskę, muszą być przede wszystkim należyte granice na zachodzie, obejmujące w pierwszym rzędzie Prusy Wschodnie i Górny Śląsk.

Powiedział w lutym b. r. Churchill: „Rosja, która w ciągu ćwierćwiecza dwukrotnie stała się ofiarą agresji Niemiec, ma prawo do uzyskania granic, któreby je przed ponownym napadem z ich strony zabezpieczały”. A czyż Polska, która na przestrzeni 170 lat stała się ofiarą czterech rozbiorów ze strony Rosji i Niemiec, przeciwko niej skoalizowanych i pomimo to nie załamała się w swej woli istnienia, nie ma prawa do granic, któreby ją broniły jednakowo od zachodu i wschodu, przed nową podobną ewentualnością? Domagamy się Gdańska, Królewca i Opola — nie jako rekompensatę za Lwów i Wilno, których nie oddamy za nic, bo ziemią swą poświęconą krwią, handlów nie uprawiamy, lecz jako wyrównania za wieki krzywd niezmiernych od narodu niemieckiego doznanych, które w wojnie obecnej osiągnęły szczytowe nasilenie.

Inwazja Europy dla większości jej narodów zdaje się być jutrzemką wyzwolenia. Już dziś wielkie mocarstwa, prowadzące to natarcie, zawarły w szeregiem rządów wygnanych umowy gwarantujące im objęcie administracji cywilnej na wyzwolonych terenach, w chwili, gdy pozwolą na to względy strategiczne. Umowy te zawarte zostały przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię z rządami Belgii, Holandii, Luxemburgu oraz z generałem de Gaulle, rezydującym w Algierze. Podobną umowę z obu mocarstwami anglosaskimi i Związkiem Sowieckim zawarł też rząd norweski króla Haakona, a rząd czesko-słowacki uzyskał od rządu sowieckiego nie tylko obietnicę oddania władzy państwowej, ale i gwarancję integralności terytorium Czechosłowacji z

przed wrześniem 1939 r. Wreszcie należący jeszcze niedawno do obozu wroga, rząd Włoch wykonuje w swym kraju za zgodą aliantów pełne prawa suwerenne.

Czyż może w tych warunkach nie zastanowić głęboko każdego, kto śledzi za sensem tej wojny, że jedynym z pośród sprzymierzonych państw, które w chwili rozpoczęcia się europejskiej operacji wyzwoleńczej nie ma żadnych formalnych gwarancji, jest — Polska.

W obronie Polski poszły w bój Wielka Brytania i Francja. Opór Polski odsunął o cenne pół roku inwazję od Zachodu. Polska wreszcie — twierdzimy to bez samochwalstwa, a z poczuciem usprawiedliwionej dumy — stanęła moralnie najwyżej ze wszystkich ujarzmionych narodów. Nie tylko dlatego, że nie ugięliśmy się przed żadnym z zaborców, nie tylko dlatego, że nie wydaliśmy Quislinga czy Hachy, ale dlatego przede wszystkim, że w szarej swej masie zachowaliśmy instynkt bezwzględnej odporności przeciwko wszelkiemu kompromisowi z wrogiem. Przykładem tego było ostatnio Cassino.

Armia generała Andersa znajdowała się od dłuższego czasu pod ostrzałem propagandy z dwu wrogich sobie, ale i nam obozów. Jeden usiłował wmówić światu że jest to armia reakcyjna, faszystowska, która nie chce rzekomo walczyć z Niemcami. Drugi, wykorzystując straszliwe przeżycia jej żołnierzy oraz pozorną obojętność Zachodu dla spraw Polski, wabił ich przez usta niemieckiej tym razem „Wandy” uludą powrotu do domów rodzinnych. Odpowiedź padła. Pod Cassino, Monte Cairo i Piedimonte. To nie tylko Niemcy ponieśli klęskę pod ruinami klasztoru św. Benedykta...

Od chwili, gdy rozpoczęła się inwazja Europy od zachodu, Polacy, jak zawsze byli wśród pierwszych, którzy wzięli udział w tym gigantycznym dziele. Nasza niewielka flota, która ma za sobą udział w desancie północno-afrykańskim, wyprawie sycylijskiej i konwojach do Murmańska, tym razem też była u boku potężnych flot, brytyjskiej i amerykańskiej. A lotnictwo? W pierwszym dniu bojów lotniczych po rozpoczęciu inwazji stracono nad Francją 102 samoloty nieprzyjacielskie, z tego Polacy — 14.

Gdy słowa te docierają do naszych czytelników, koledzy nasi z 1. Korpusu być może znów przelewają krew w tej samej Francji, której już w 1940 roku bronili do ostatnich granic możliwości. Walczą oni, czy też walczyć będą, na ziemi francuskiej, jak walczy armia generała Andersa na ziemi włoskiej, jak walczyła Brygada Podhalańska w Norwegii, czy Karpacka w Afryce — za Polskę niepodległą i nie uszczuploną.

Jeżeli fakty te bierzemy tutaj pod rozwagę, to nie dlatego, byśmy sądzili, że za takie, czy inne zdobycie przez nasze wojska miasto, czy wzgórze, za to, że nie ma wśród nas zdrajców, czy za spalone przez wrogów polskie grody i sioła należy nam się jakaś szczególna nagroda, albo że oddanie nam tego, co jest nasze, stanowić miałyby jakąś zapłatę. Pieśń o tym, że „nie chcemy od was uznania”, dźwięczy stale nutą pewnej aktualności...

Ale bezsporne jest, że z walk naszych

żołnierzy w kraju, jak i z granitowej postawy Kraju, powstaje skarb, którego „ogień nie spali, wiatr nie rozwieje i złodziej nie weźmie”. W oparciu o ten właśnie skarb, o prawa nasze nie prosić, a domagać się będziemy.

Wszystko wskazuje na to, że wielka godzina inwazji nie będzie ostatnim etapem naszej walki. Bo od pamiętnego na wieki Września, na świecie zmieniło się wiele. Wtedy sądziliśmy, że celem wojny będzie pobicie Niemiec i zniszczenie hitleryzmu, dziś wiemy, że to, co wówczas uważaliśmy za zadanie ostateczne i kres naszej pracy, jest zaledwie środkiem dla osiągnięcia tego celu. Cel zaś walki — to budowa nowego, lepszego świata, opartego na wolności i bezpieczeństwie tak narodów, jak i jednostki. Karta Atlantycka i „cztery wolności” prezydenta Roosevelta są najskromniejszym wyrazem tego, co świat musi starać się osiągnąć.

W dniach, które idą padnie wśród pól i winnic Francji wiele, wiele tysięcy najszlachetniejszej młodzieży Ameryki i Brytyjskiego Imperium. Z nimi umierać będą synowie Polski, Francji i innych narodów, umiejących walczyć o wolność. Miliony serc na obu półkulach z trwogą czekać będą na wieści z placu boju.

Czyżby w rezultacie to wszystko miało dać Europie tylko zamianę zaborów? Zastąpienie jednego totalizmu drugim? Gdyby tym, którzy z pogardą śmierci szturmuje normandyjskie plaże zaproponował ktoś tę ewentualność — skierowałby przeciw niemu swe bagnety i granaty. Bo świat ludzi, miłujących nade wszystko wolność, jest wielki. A my jesteśmy jego przednią strażą.

I dlatego żołnierz polski, który tak wybitny bierze udział w akcji wyzwolenia Europy od strony Morza Śródziemnego, wita swych towarzyszy broni, lądujących na jej brzegach atlantyckich. Wita gigantyczne armie frontu zachodniego okrzykiem, który jest polskim hasłem walki od wielu pokoleń:

„ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ!”

Zbigniew Racięski

NASZA OKŁADKA

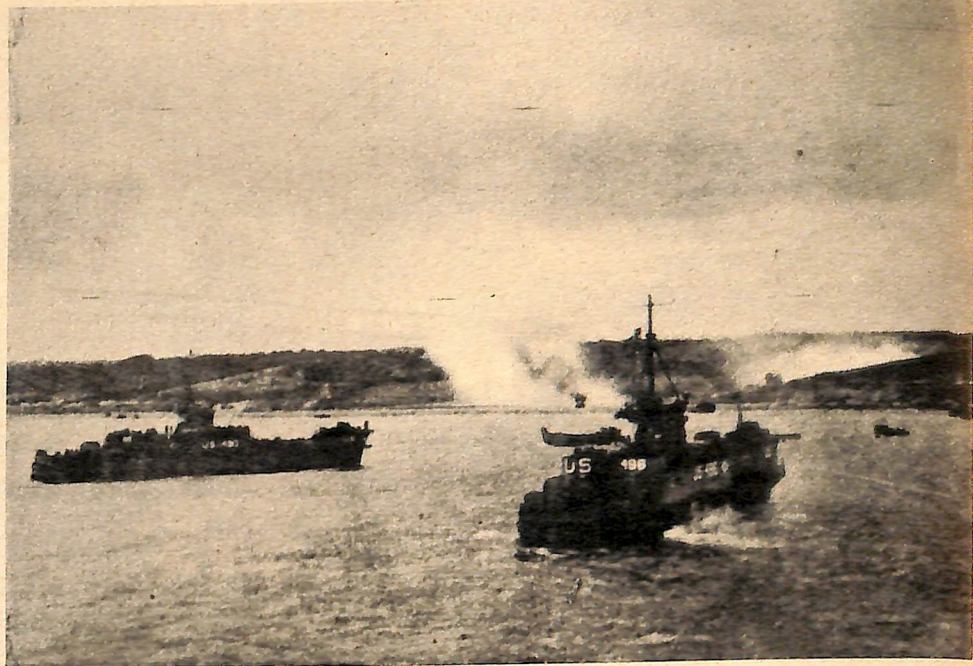


Wodzowie inwazji gen. D. Eisenhower i gen. Sir B. Montgomery w otoczeniu sztabu

Fot.: U. S. Office of War Information



Barki inwazyjne w porcie angielskim



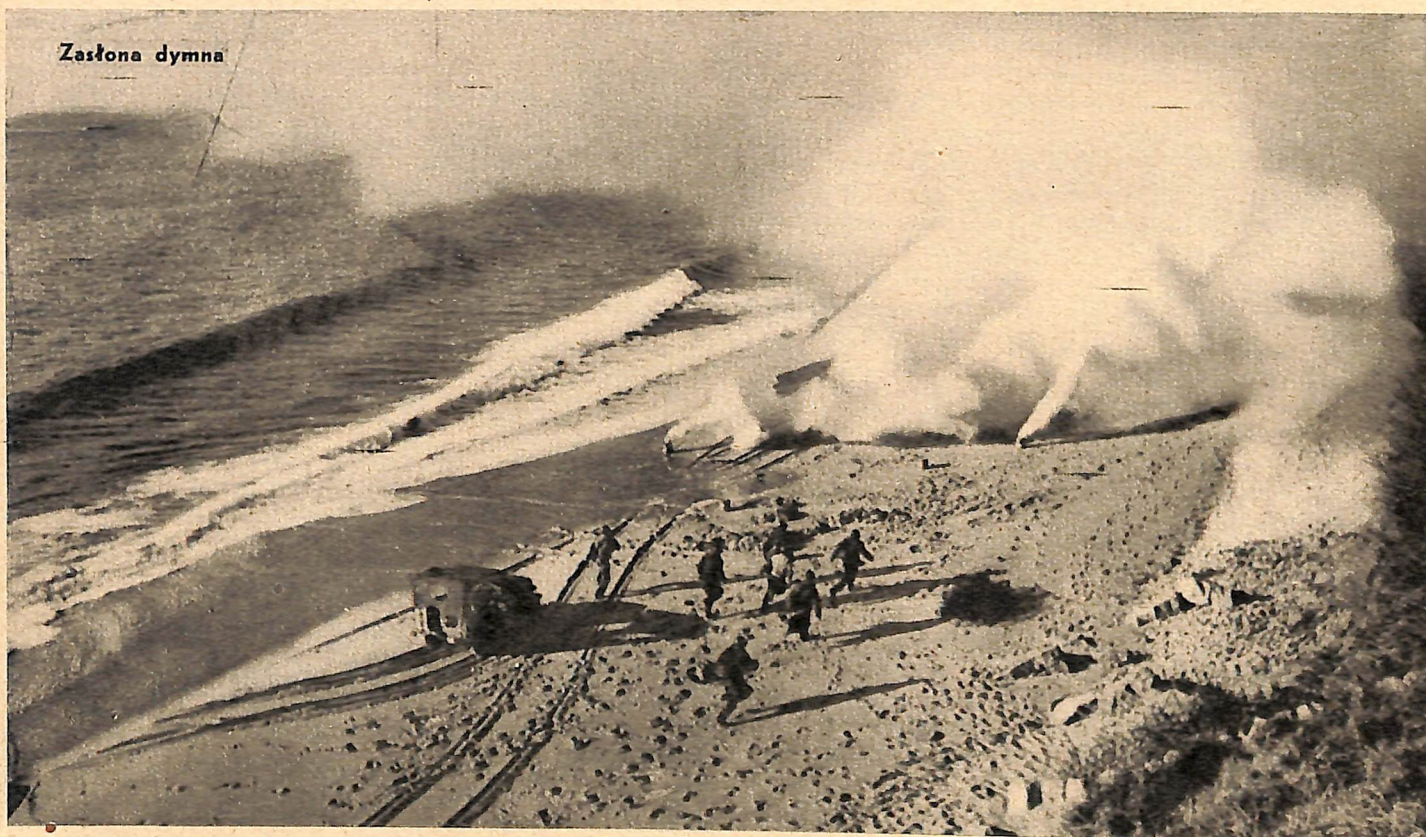
Jednostki sojusznice zbliżają się do wybrzeży francuskich

INWAZJA ZACZEŁA SIĘ O ŚWICIE

Napisał morski redaktor „Parade” LAMBTON BURN



Oddziały inwazyjne przesiadają się kilkakrotnie, zanim dotrą do lądu



Zasłona dymna

6 czerwiec 1944. Jest jeszcze ciemno. Gęste mgły przysłaniają okręty, statki, transportowce, poławiacze min — największą flotę inwazyjną w historii. Stoje na pomoście i omawiamy warunki meteorologiczne. Nad nami w górze łopocze flaga wojenna, przed chwilą wciągnięta na maszt. Jest tak nowa, że znać na niej fałdy i załamania, jak na nowej chusteczce, wydobytej z kuferka. Lecz nim słońce wzbije się wyżej niejedna kula i odłamek pocisku nada jej patynę historii.

Lecz w tej chwili nie myślimy o tym. Jest w nas coś z aktora przed premierą sztuki trudnej, ale długo i starannie przygotowanej. Zarówno marynarze, jak i żołnierze sił lądowych, pancerniacy, komandosi i wszystkie inne „gwiazdy” tego wielkiego spektaklu miesiącami trenowali lądowanie, w mgłę, przy wzburzonym morzu, w pełnym ekwipunku — ot tak samo, jak to ma być dzisiaj...

Jest głęboka noc. Poławiacze min wypłynęły daleko przed nas. Musimy poruszać się z niezmierną dokładnością czasu i kierunku, płynąć przez nieprzyjacielskie pola minowe. Znajdujemy się w dziwnym, doskonale regulowanym pochodzie jednokierunkowym. RAF jest czynny. Obserwujemy fontanny pięknych ogni złotych i czerwonych. Patrzymy na mapy — to musi być gdzieś w okolicy Cherbourga. Punkt naszego lądowania leży znacznie dalej na wschód. Pamiętamy dobrze punkty orientacyjne miejsca, gdzie mamy lądować. A więc kwadratowa wieża kościoła, zarysy willi bardzo nowoczesnej i inne. Lecz zdajemy sobie sprawę, że owe punkty orientacyjne tak starannie wyznaczone na mapach inwazyjnych — mogą zostać zniszczone i zmiecione z powierzchni znacznie wcześniej, niż zdołamy je dojrzeć.

Dnieje. Zaczynamy dostrzegać okręty floty inwazyjnej w ich groźnym majestacie. „Czy widział pan coś różnym olbrzymiego pod Salerno?” — zapytuje kapitan z odcieniem dumy. — Takiego widoku nie było ani pod Salerno, ani w ogóle nigdzie.

Wszystko przygotowywane było na dzisiejszy dzień od dawna. Dziesięć tysięcy oficerów i marynarzy oraz 200 specjalnych okrętów pracowało przez długie tygodnie, nim pierwszy żołnierz armii sprzymierzonych dotknął stopą kontynentu europejskiego. Łowiono miny, oczyszczano morze, wyznaczano trasy morskie przyszłych uderzeń i lądowań. Praca ta musiała być wykonana w zupełnej tajemnicy. Opracowano specjalny plan „manewrów” morskich i lotniczych, które tak przykuły uwagę nieprzyjaciela, iż zadanie poławiaczy min uszło jego oczom. Nieliczne siły morskie i powietrzne nie-

mieckie były tak zaangażowane przez torpedowce i RAF, że nieprzyjaciel do ostatniej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego, co się istotnie „święci”. Była to jedna z największych koncentracji poławiaczy min i okrętów specjalnych. Niektóre z nich ściągnięto aż z pod Murmańska, gdzie torowały drogę konwojom — a nie brakło nawet i weteranów z pierwszej wojny światowej.

Płyniemy wśród linii kontrtorpedowców i statków transportowych. Mamy prawo „pierwszeństwa” w lądowaniu. Na pokładzie naszego okrętu znajdują się saperzy, specjalnie szkoleni. Wyposażeni są w różnorodną broń i w nowe narzędzia, których opis do czasu musi pozostać tajemnicą.

Inwazja jest rewią nowości w typach broni, oraz środkach transportowych, a zwłaszcza amfibiach. Dzieje tego natarcia będą kiedyś opowiedziane w całości, dziś należy podkreślić, że powodzenie było wprost proporcjonalne do tajemnicy. Żołnierze armij inwazyjnych wiedzieli wszystko — wróg nie wiedział nic i zaskoczenie było całkowite.

Saperzy, którzy płyną z nami, są młodzi, muskularni, a w twarzach ich widać ten sam wyraz chłodnej determinacji,

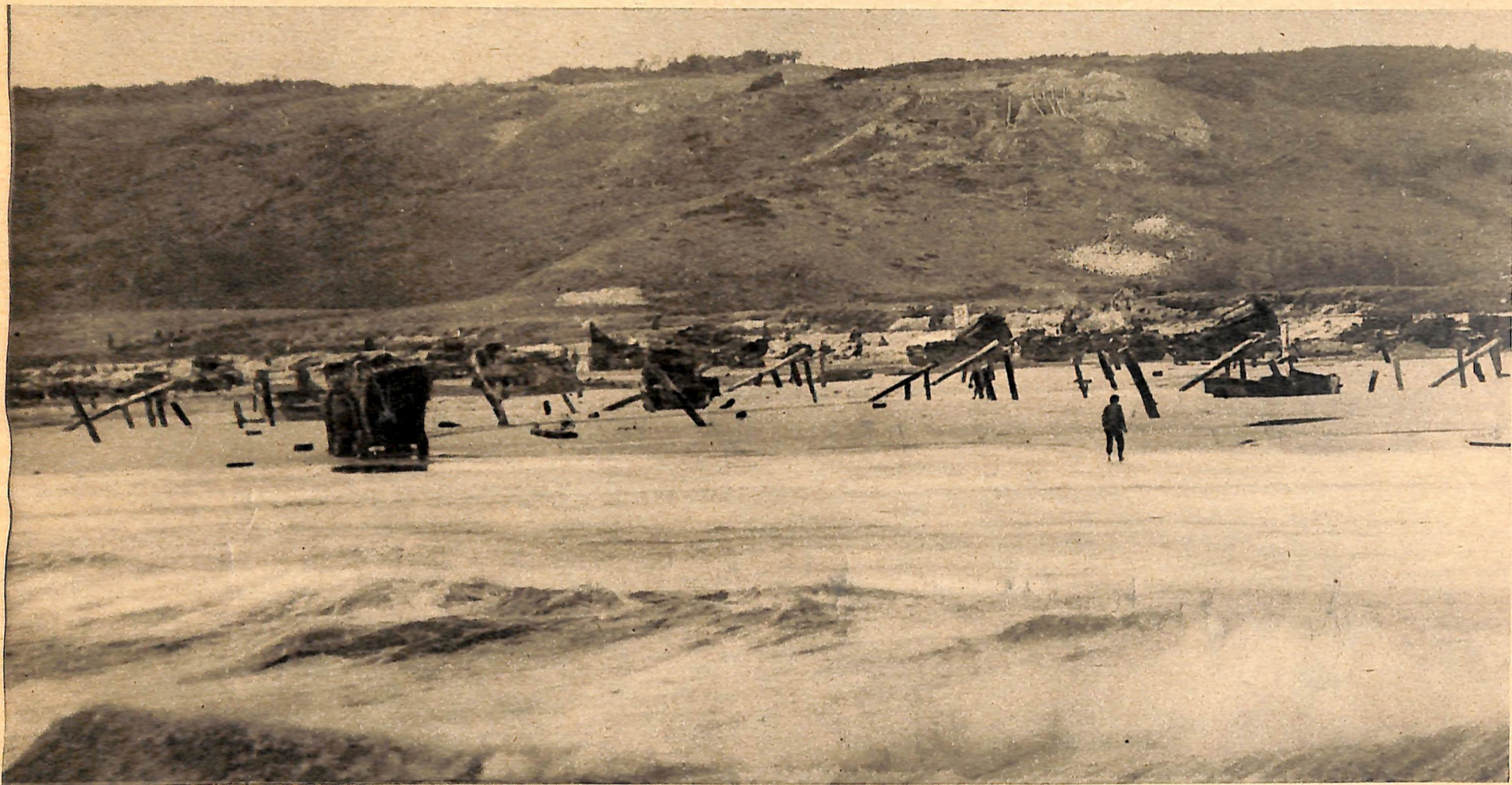
który cechuje żołnierzy Ósmej Armii. Oto oni: Donald Robertson, stojący tuż obok „bramy wyjściowej”. Jego Sherman ma nad wizjerem wypisane swe imię, „Stornaway”. Bob Brotherton posiada również Shermana. Donald jest porucznikiem — Bob, kapralem, lecz w opowiadaniu tym opuszczam tytuły i rangi. To jest w pełnym tych słów znaczeniu wojna mężów. W obliczu pocisku wroga są wszyscy równi. „Churchill” Jock’a Wingate jest już przystosowany do „entente cordiale”, gdyż na jednym z jego potężnych panczerzy wymalowana jest główka pięknej Francuzki, ozdobiona napisem: „Les yeux verts”. Inni siedzą również w swych Shermanach, gotowi rozpocząć natchmiast swe trudne zadania na plażach wybrzeża. Likwidować miny, zapory i torować drogę poprzez „pancerz” nadmorskich umocnień wroga.

Każdy czołg, każda jednostka, oddział, czy grupa posiadają swój inwazyjny numer. Lądowanie odbywa się kolejno według numeracji. Powoli zbliżamy się ku wybrzeżom nieprzyjaciela. Światło dnia z trudem przebija się przez zwały chmur. Silny wiatr, morze wzburzone. Poprzez moją lornetkę staram się dojrzeć zarysy wieży kościelnej i willi, naznaczonych na



Wybrzeże francuskie, na którym nastąpiły pierwsze lądowania. Widoczne są niemieckie urządzenia obronne

Już są na wybrzeżu!



Tak wyglądało wybrzeże Normandii zaraz po wylądowaniu ↓





dokładnych mapach inwazyjnych. Na horyzontach dymy. To okręty wojenne angażują w walce morskie siły nieprzyjaciela. Trudno jest odróżnić huk dział okrętowych od detonacji bomb, które padają nieustannie na wybrzeże. Warkot sunących nad nami tysięcy samolotów

nie milknie ani na chwilę. Żołnierze uśmiechają się i zatykają sobie uszy przed uderzeniem fal detonacyjnych. Dokładnie o 7,15 słyszymy świst, jakby gigantycznego strumienia pary, wydobywającego się z kotła pod wielkim ciśnieniem. Unosimy głowy ku niebu. Oto pierwsza seria

pocisków rakietowych została wystrzelona z pokładów okrętów wojennych. Rozerwały one niebo błyskiem tak, jakby ktoś nagle odpiął olbrzymi zatrask błyskawiczny. Jesteśmy już tak blisko, że widzimy przeskody wstępne. Te wysokie belki, słupy i kije, sterczące z wody

więzają zapewne cały system min. Sterczą dość bezradnie, gdyż jest odpływ, a Hitler kalkulował, że atakować będziemy w czasie przyływu, kiedy przeszkody te są niewidoczne, a za to o ileż bardziej groźne.

Ludzie przy maszynach czynią wszystko, aby wydusić z motorów Diesla maksimum szybkości. Nagle suchy zgrzyt potęgający się i przeciągły... Ładujemy. Pierwszy dotyka stopą kontynentalnego lądu oficer, dowódca naszej floty. Następnie, z głuchym traskiem, kierowcy zapuszczają motory Shermanów. W pewnym momencie ogień wroga koncentruje się na nas. Odłamki gwizdzą ze wszystkich stron. Nagle otrzymujemy dwa uderzenia z boku. Czołg nr 1 zostaje zepchnięty — „Dunbar” z uszkodzonymi gaśnicami skręcił w prawo i zatrasosował wyjście. Większość okrętów naszej floty wyładowała już swoje czołgi, a my nagle natrafiamy na tak poważne przeszkody. W kilka minut później zostajemy wezwany, abym z morfiną zszedł na dół. Mamy pierwszych rannych i zabitych. Morfina łagodzi szok. Sanitariusze zakładają szybko opatrunki. Pociski pękają w naszym najbliższym sąsiedztwie. Jesteśmy w rejonie bitwy.

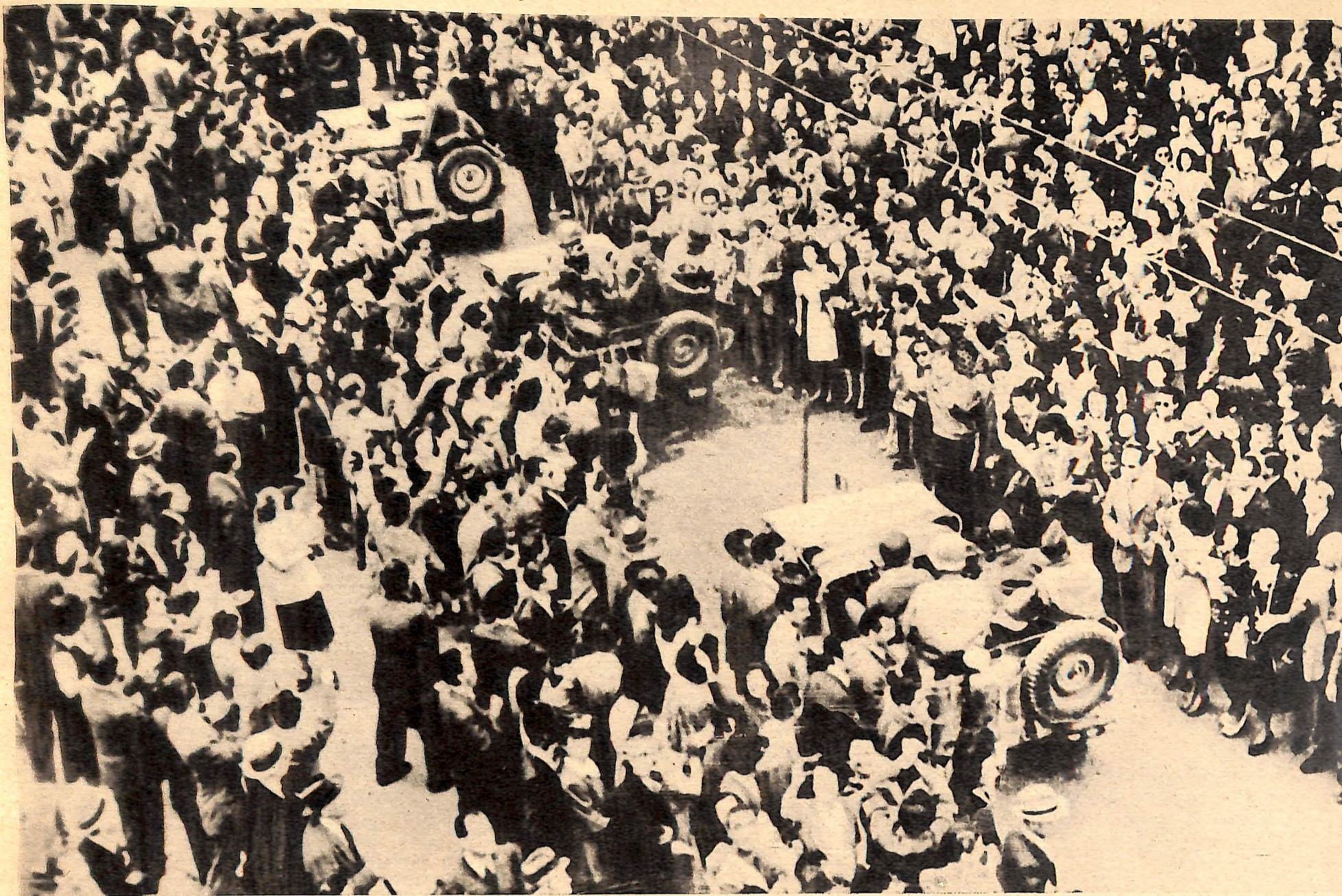
Przechodzę na drugą stronę okrętu, aby spojrzeć, co dzieje się na plażach. Czołgi suną po piasku w głąb lądu. Ich działa zieją ogniem bez przerwy. Nieco dalej widzę oddział, który na kształt klina prze naprzód. To komandosi. Wyglądają, jak armia bokserów. Pochyleni, w bojowej postawie, gotowi do walki, są imponujący i straszni. Pociski padają wśród nich gęsto. Ktoś pada i nie podnosi się więcej — szereg zamyka się nad nim i oddział idzie naprzód i naprzód.

— Jeszcze wczoraj na tej plaży pili sobie kawę — mówi obok mnie jeden z żołnierzy, kierując serię z ciężkiego karabinu maszynowego na nadmorską promenadę. — On mówił do niej, że drugi front nie będzie otwarty bo popsułby nam lato... A dziś niechby sobie przyszli i popatrzeli, jak to wygląda.

Nadeszły rozkazy. Musimy się wycofać. Nie możemy wyładować naszych czołgów i zagradzamy drogę innym. Późną nocą weszliśmy do jednego z portów angielskich. W czasie drogi musieliśmy wzywać pomocy kontrtorpedowca i pompować wodę z naszego okrętu.



Kropkami oznaczono teren, na którym lotnictwo sojusznicze nieprzerwanie bombarduje linie i węzły kolejowe. Gwiazdkami zaznaczone są główne niemieckie bazy morskie, gwiazdkami w kole i podwójnymi kołami — większe cele bombardowane w okresie od 17 kwietnia br.



OD EL ALAMEIN DO RZYMU

5 czerwca o świcie oddziały V Armii, entuzjastycznie witane, wkroczyły do Rzymu, a już na drugi dzień o tej samej porze sojusznicza armia inwazyjna lądowała na wybrzeżach Francji. Zbieżność tych dwóch wydarzeń jest wiernym wyrazem tej zmiany, jaka nastąpiła w rozwoju wojny. Daleka to była droga: od El Alamein do Rzymu, od Dunkierki do lądowania w Normandii. Zwycięski pochód od Aleksandrii poprzez Tunis i Sycylię do Włoch stał się przełomem tej wojny, dał wolność i bezpieczeństwo Rzymowi, umożliwił inwazję Europy również od zachodu. Na Rzym spoglądają dziś inne stolicy europejskie, które wybawienia i prawdziwej wolności spodziewają się jedynie od Zachodu.

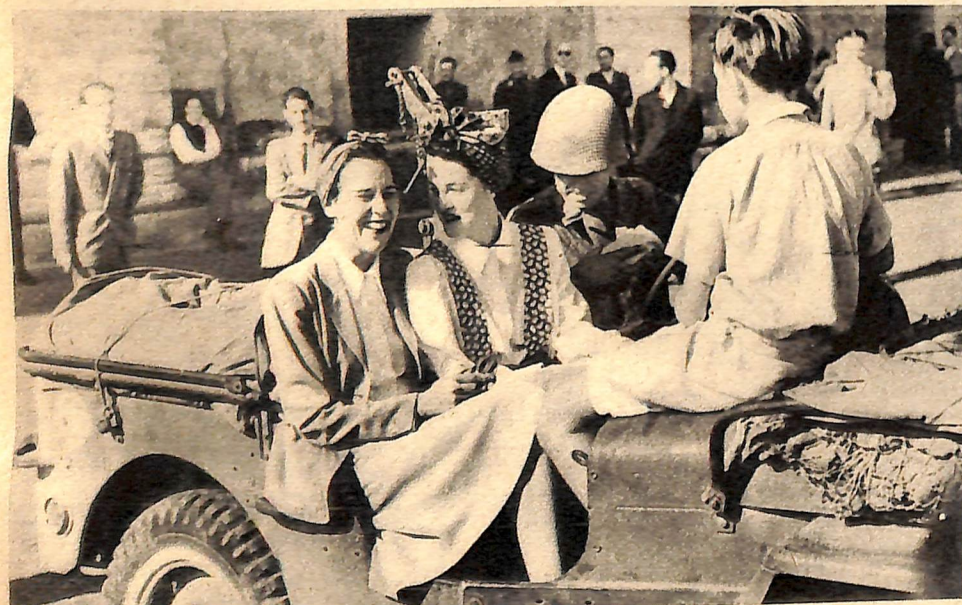


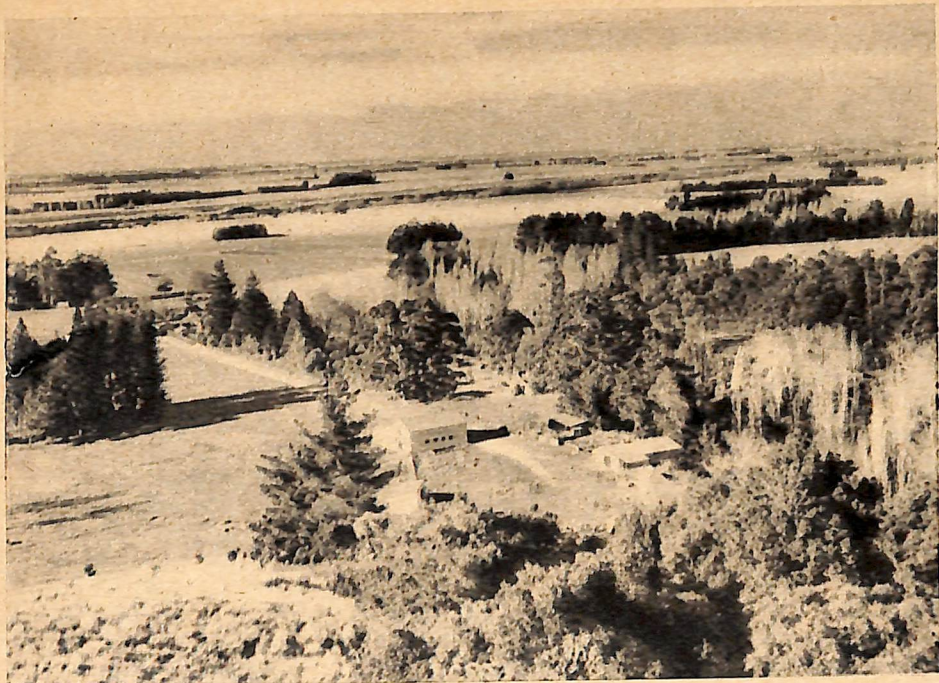
Żołnierze armii sojuszniczej na Forum Romanum ↑

↓ Orkiestra szkocka

Pierwszy odpoczynek w Rzymie ↑

↓ Żony dyplomatów przy Watykanie na pierwszym spacerze łażikiem





Krajobraz nowozelandzki

ROZMOWA Z PREMIEREM NOWEJ ZELANDII

„Byłem wśród polskich żołnierzy wkrótce po zakończeniu ich sławnych bojów we Włoszech. Zwiedziłem pola walk wokół Monte Cassino. Oglądałem niemieckie pozycje, które polskie dywizje zdobyły. To świetne wojsko. Jestem jeszcze pod wrażeniem chwil, które tam spędziłem. A generał Anders, z którym naturalnie się spotkałem, jest nie tylko dzielny żołnierz, ale i znakomity wodzem”. Tymi słowami przywitał premier Nowej Zelandii Peter Fraser przedstawiciela „Parady” na konferencji prasowej w Kairze, gdzie premier Fraser zatrzymał się na krótko w drodze powrotnej z Londynu i Włoch.

Celem konferencji było zapoznanie przedstawicieli prasy światowej, rezydującej w Kairze, z głównymi problemami tego najbardziej odległego od macierzy Dominium Brytyjskiego.

Dominium to, chociaż niewielkie, jeżeli brać pod uwagę liczbę ludności, bo liczy zaledwie 1.600.000 mieszkańców, wniosło w prowadzenie wojny wkład bardzo poważny. Ponad 110.000 obywateli nowozelandzkiej pełni służbę wojskową poza granicami swego kraju. To też z dumą podkreślił premier Fraser, że wśród narodów mówiących językiem angielskim nie ma takiego, któryby procentowo do swego stanu ludności wystawił więcej wojska. — Moi rodacy — mówił dalej premier Fraser — walczą na wszystkich frontach świata z wyjątkiem Chin i Rosji. Tu,

w rejonie Morza Śródziemnego, specjalnie wyróżniła się druga dywizja pod dowództwem sławnego generała Freyberga. Dywizja ta walczy od czterech lat. Walczyła w Grecji i na Krecie, odbyła wszystkie kampanie libijskie, brała udział w wielkiej ofensywie afrykańskiej, idąc zwycięsko z pod El Alamein aż do Tunisu. Ostatnio dywizja ta walczy we Włoszech obok wojsk polskich. Skrzyżowała się też pod Monte Cassino w czasie poprzedniej ofensywy. Jak mówił generał Anders, witając premiera Fräsera na Massa Albanetta: „Tereny, na których stoimy nasiąkły gęsto krwią żołnierzy Polski i Nowej Zelandii, zmieszana we wspólnym braterstwie broni i wspólnym umiłowaniu wolności”.

Inne wojska nowozelandzkie, jak mówił premier Fraser, walczą na Pacyfiku. Specjalnie silne jest lotnictwo, które posiada dostateczną ilość załóg i personelu pomocniczego dla 2000 bombowców i 1000 myśliwców.

Nowa Zelandia jest krajem, który nie ma ciężkiego przemysłu. Ta okoliczność sprawiła, że kraj ten mógł wystawić tak znaczną, jak na swą ludność, ilość wojska. Jednakowoż potrzeby wojenne, konieczność oszczędzania tonażu oraz chęć dopomożenia Wielkiej Brytanii sprawiły, że od wybuchu wojny Nowa Zelandia rozwinęła produkcję szeregu artykułów przemysłu wojennego, które normalnie importowała. Dziś Nowa Zelandia wy-



Premier Nowej Zelandii, Peter Fraser

tworzy już amunicję, lekką broń, a nawet carryery. Przede wszystkim jednak Nowa Zelandia jest dla swych sojuszników arsenalem środków żywnościowych i ubrań.

Mówiąc o przyszłym porządku światowym, premier Fraser oświadczył: „W czasie niedawnej konferencji premierów Imperium Brytyjskiego w Londynie, dyskutowaliśmy szczegółowo nad rolą, jaką brytyjska wspólnota narodów winna odgrywać w świecie dla zachowania pokoju. Moim zdaniem, Imperium Brytyjskie, którego członki — poszczególne narody, rozrzucone są po całym świecie, ma tu poważne zadanie do spełnienia. Jednak

doświadczenie ostatnich dwudziestu lat wykazało, że jedno państwo, czy nawet zespół kilku państw nie może samoistnie zabezpieczyć porządku światowego. Nie potrafi tego uczynić nawet Imperium Brytyjskie przy całej swej potędze. Takiego dzieła można dokonać tylko przez organizację światową, opartą na międzynarodowej podstawie”.

W sprawie przyszłej imigracji do Nowej Zelandii premier Fraser wyraził się raczej ostrożnie. Musimy naprzód — mówił — odbudować wygodne warunki bytu dla dziesiątków tysięcy obywateli naszego Dominium, którzy po wieloletniej służbie za morzami powrócą po wojnie do kraju. Być może, okaże się później, że będziemy potrzebowali specjalistów dla rozmaitych dziedzin handlu i przemysłu. Zwrócimy się wtedy o tych ludzi, naturalnie przede wszystkim do Wielkiej Brytanii.

Będziemy chcieli ofiarować nasze obywatelstwo w pierwszym rzędzie ludziom z pośród oddziałów brytyjskich, które walczyły ramię przy ramieniu z naszymi wojskami. Jeżeli Wielka Brytania nie będzie mogła dostarczyć nam ludzi w rozmiarach zaspokajających nasze zapotrzebowanie, zwrócimy się do innych narodów, które razem z nami walczyły w tej wojnie.

Na zakończenie prosiliśmy premiera Fräsera o informacje, jak przedstawia się sprawa przyjęcia przez Nową Zelandię dzieci polskich, o czym donosiła prasa zagraniczna. Premier Fraser oświadczył, że rzeczywiście Nowa Zelandia wyraziła gotowość przyjęcia 700 dzieci polskich z pośród tych, które obecnie są w Iranie. Zresztą, dodał premier, w kraju naszym żyje już pewna liczba uchodźców polskich, między innymi ci obywatele polscy, którzy do chwili wybuchu wojny zamieszkiwali w Japonii, względnie na terenach Chin, okupowanych obecnie przez Japończyków.

R.

Queenstown, miejsce wycieczek



Typ domku wiejskiego





Białe taśmy wytyczają drogę

BULWAR INFERNO PROWADZI DO GDANSKA

Niedaleko za A. rozpoczynała się ta przeklęta droga. Biegła stromościennym, zalesionym wąwozem. Gdzieś tam był on wąski, gdzieś poszerzał się. Kierowcy mieli marny los.

Do Cassina prowadziły dwie niezłe drogi. Niemcy doskonale je znali i byli w nie dobrze wstrzelani. Jednak dwie drogi, to na wymagania ofensywy za mało. Wówczas Anglicy zwrócili uwagę na wąwóz. Kiedyś był tu wodospad. Poszerzyli go tu i tam, wygładzili dno i nazwali tę karkołomną drogę, po której tylko łażki mogły się prześlizgiwać, „Inferno Road”. Trafną nazwa. Rzeczywiście była to piekielna droga!

Kiedy Polacy objęli odcinek, do wąwozu przyszli saperzy. Poszedł w ruch dynamit, poszły w ruch kilofy i elektryczne świdy. Zaczęto drogę poszerzać. Niemcy rabali w to polskie przedsiębiorstwo drogowe, ile włożyli. Chcieli je doprowadzić do bankructwa, ale nie dali rady. Droga przez wąwóz została przeprowadzona. Skały, tamujące przejazd wysadzono, dno wygładzono i pokryto drucianymi siatkami (żeby koła nie buksowały). W ścianach wąwozu wykute zostały olbrzymie schrony. Mieściły się w nich magazyny, dowództwa, punkty sanitarne, centrale telefoniczne. Na stokach

zrobiono stanowiska artylerii i ciężkich moździerzy. Wojsko porobiło sobie z worków, napełnionych piaskiem doskonałe chałupki. I tak powstało miasteczko — w skałach i piasku.

Życie w wąwozie rozpoczęło się dopiero w nocy. W dzień było spokojnie, świergotały tylko ptaki. Czasami huknął moździerz. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że ponad całą okolicą górowała olbrzymia, przeszło 1600 metrów góra Cairo.

Parszywa góra! Ponura jak śmierć. Siedzieli na niej obserwatorzy niemieccy i jak na dłoni widzieli, co dzieje się w wąwozie. Nie pomagają rozwieszanie siatek maskowniczych. Kiedy jechały kolumny, szła piechota lub muły, waliła niemiecka artyleria i moździerz. W wąwozie padło wiele ofiar i wojsko nazwało go „Wąwozem śmierci”, albo „Czarcim jarem”.

Lecz nic Niemcom nie pomógł! Nocą wąwozem śmierci posuwało się tysiące maszyn. Maszerowały baony piechoty. Szły muły. Waliły czołgi.

Regulacja ruchu odbywała się idealnie. Co paręset metrów stali żandarmi. Była to ciężka robota. Ruch na tej drodze był na pewno większy, niż na ulicy jakiegokolwiek miasta. Wszędzie porozwieszano

nie były tablice kierunkowe i ostrzegawcze, jakby na jakiejś autostradzie. Brakowało tylko reklam. Gdyby powieszono płachty z napisem „Cukier krzepi”, albo „Radion sam pierze”, to byłoby niezłe złudzenie. Treść tych tablic ostrzegawczych była zupełnie niepodobna do treści tablic, które spotykamy na normalnych drogach.

„Nie bądź głupil! Nie daj się zabić! Trzymaj odstęp!”

albo:

„W tym miejscu zostało zabitych i poranionych dużo ludzi i zwierząt. Nie zatrzymuj się!”

Wymowna była treść tablic ostrzegawczych w wąwozie śmierci. Ale jeszcze bardziej wymowniejsze, bardziej plastyczne były poharatane auta i zabite muły, które czasami spotykało się na drodze. Gdzieś tam cuchnęło trupami.

Niedaleko Cairo droga wpadała w obszerny plac. Polacy nazwali go placem Gdańskim, albo Gdańskiem. Francuzi, placem Pigalle, a Anglicy Hyde Parkiem. W nocy był tu ruch olbrzymi. Po prostu kipiało. Tu piechota zatrzymywała się na odpoczynek, tu były zbiorniki z wodą i magazyny żywnościowe.

Klaskony aut mieszały się z rykiem i nawoływaniem ludzi. Tutaj byli Francuzi i Anglicy, Polacy i Amerykanie, Grecy i Włosi i Hindusi. Ponad ten gwar przebiegał huk artylerii i moździerzy, naszej i wroga. W „Gdańsku” był ruch, jak na paryskich bulwarach.

Czasami pomimo rygorystycznego zaciemnienia (nawet nie wolno było palić) było widno. To płonął jakiś magazyn. Wojna... Poza tym nie stosowały się do zarządzeń „black-outu” robaczki świętojańskie. Było ich tysiące. Siedziały i świeciły wszędzie, po drzewach, skałach, ludziach, czołgach i armatach. W krótkich chwilach, kiedy nic nie strzelało, słychać było cykanie świerszczy i śpiew słowików.

Głupie stworzenia, że nie pouciekały... Lecz mimo wszystko, było makabryczne. Wyjdiesz za zakręt, sterczy to przeklęte Cairo. Czasami błysnie z niego rakietą, czasami prześlizgnie się reflektor, czasem zaterkocze Spandau.

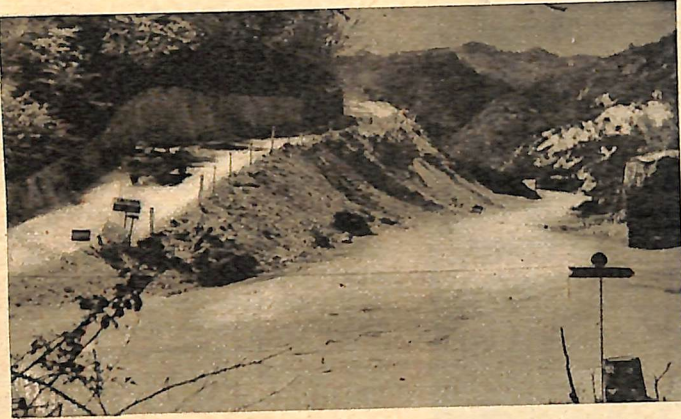
Co Niemcy mogli, to robili, by sparaliżować ruch. Warunki do tej roboty mieli doskonałe. Lecz nic im nie pomogło. Tuż pod ich nosem maszerowała piechota i jechały maszyny.

Kierunek — Cassinol

MIECZYŚLAW STRYK



Kolumna sanitarna



Droga pod obstrzałem



Wysunięta składnica



To miejsce trzeba szybko przeskoczyć



Cassino

Widmo nad Doliną

Korespondencja „Parady” z Włoch

Tadeusz Zajaczkowski

Nie szukajcie tych nazw w słownikach geograficznych, nie pytajcie o nie mieszkańcy wiosek sąsiednich: oficjalnie one nie istnieją.

Widmo i Dolina Śmierci — to przewziska żołnierskie, nadane baniastej górze i leżącej przy niej kotlinie, przez Anglików i Amerykanów, którzy długie miesiące gęsto zaścielali je trupem.

Stanowi to niewielki spłachetek ziemi — może trzy hektary — i prowadzi do podnóża Colle San Angelo, kluczowej pozycji obronnej linii Gustawa. Kto siedział na San Angelo, ten był panem w Monte Cassino, Monte Cassino zaś jak klin wbijało się w dolinę i zamykało drogę do Rzymu.

Strome, niedostępne zbocza są najeżone ostrymi głazami, zarosłe zbitym gąszczem krzaków. Do tego Widmo, niby prawdziwy upiór, ziało śmiertelnym ogniem ze strzelnic, przemyślnie zamaskowanych bunkrów, Dolina Śmierci zaś stała się od dawna grobem wielu dzielnych żołnierzy, którzy kładli się tu pokotem, rażeni ulewą pocisków ze stanowisk niemieckich na szczycie San Angelo. Bo San Angelo, wbrew swej anielskiej nazwie, było diabelską twierdzą, wyposażoną we wszystko, co dać może współczesna technika wojenna, bronią wściekle z rozpaczliwym uporem. Poza tym, kiedy Widmo jest silnie zakrzaczane i przez to trudno dostępne, to San Angelo u swego szczytu wznosi się niemal prostopadle jakichś dwieście metrów w górę nagą, litą skałą, na grzbiecie której znajdowały się niemieckie stanowiska, obsadzone przez oddziały leżące na przeciwstoku.

Zadaniem „Kresowej” było zdobycie Colle San Angelo, a przez to obezwładnienie Monte Cassino. Żeby opanować San Angelo, trzeba było wprawdzie zająć wzgórze Widmo i przejść przez Dolinę Śmierci.

Natarcie ruszyło w nocy z 11 na 12 maja. Dwa baony Wileńskie, potem jeden z baonów Lwowskich weszły na Widmo, zostały zepchnięte niemieckim przeciwnatarciem i poszły znów. Tak przechodziła to wzgórze z rąk do rąk przez całą noc, przez cały następny dzień i jeszcze jedną noc. Walka szła o paręset metrów skały, ale na każdym metrze ziały leje i wyrwy od tysięcy pocisków, leżeli zabici — nasi i Niemcy — jęczeli ranni, wsiąkała w ziemię krew.

Piekło tam było prawdziwe, kiedy 16 maja — w piątym dniu zmagania ruszył do ataku Lwowski baon majora St. Baon ten był w ogniu od pierwszego dnia natarcia, lecz dziwnie szczęśliwie oszczędzały go dotychczas pociski wroga.

Kapitan Ł. ze swoją czwartą kompanią idzie pierwszy. Przez piekielną gmatwaninę wykrotów, głazów, krzaków i zwójów kolczastego drutu, przez setki pułapek i min — przedziera się na zbocze Widma. Ale Niemców na Widmie jest za dużo. Co najinniej w sile równej nacierającej kompanii, ukryci w schronach, niedostępni i bezpieczni, rażą morderczym ogniem — przyduszają natarcie do ziemi.

Wicie jak ciężko poderwać się wtedy, gdy tuż nad głową leci z żałosnym poświstem fala kul, kiedy instynkt każe

jak najgłębiej zaryć się w ziemię, wcisnąć się, przypląszczyć...

Kapitan Ł. usiłuje pchnąć kompanię naprzód. Woła: — atakować! Na szwabal! Odpowiada mu krzyk: — Chłopcyl bić tych sk... synów!

To podnosi się z ziemi podchorąży Tadeusz Gasiński.

Dziewiętnastoletni wesoły, żywy chłopak, który przed kilku miesiącami zdawał maturę w B., teraz podrywa swą drużynę do ataku. Z granatem w ręce pędzi w kierunku niemieckiego schronu i dostaje serię przez pierś.

Ostatnim odruchem nawyku żołnierskiego woła w stronę dowódcy kompanii: — Panie kapitanie, melduję, że Gasiński nie żyje! — i pada bez życia na głazy...

Dowódca baonu rzuca na pomoc kompanię drugą pod dowództwem porucznika P. Ci już na podstawie wyjściowej są dziesiątkowani straszliwym ogniem artylerii i moździerzy. Już są ranni, już padło sześciu zabitych.

Zginął szef kompanii, sierżant Władysław Cynowski, rozdarty pociskiem na strzępy. Rozwścieczona kompania prze naprzód. Po polsku, po wariacku!

Wspaniałym susem — w 15 minut są na szczycie Widma. W mig roznoszą schrony.

Uderzenie było tak żywiołowe, tak gwałtowne, że Niemcy nie mają czasu się poddać: zanim zdążą podnieść ręce do góry, już są na bagnietach.

Dowódca kompanii, porucznik P., dopada, siejąc seriami z Tommiganu, schronu. Odłamek pocisku roztrzaskuje mu lewe przedramię, Tommigan wypada z bezwładnej ręki. Wtedy prawą wychwytuje pistolet i strzela w otwory bunkru. Rażony serią ze Spandau'a pada, brocząc krwią. Z pod ognia wynosi go podchorąży Wol., który ze swą drużyną pędzi tuż za dowódcą.

Straty są duże, ale uderzenie skuteczne! Kompania czwarta już się poderwała i naciera na środek wzgórza. Za nią goni trzecia, kapitana K.

Wypad jednej kompanii zmienia się w natarcie całego, czołowego baonu.

Kompanie wydusiły Niemców w bunkrach, skonsolidowały się, zapadły na noc na wzgórze.

Widmo jest zajęte i opanowane ostatecznie!

Jednak Niemcy przez noc podciągnęli posiłki i o świcie uderza w baon gwałtowny kontratak. Idą na prawe skrzydło baonu, na czwartą i drugą kompanię. Dochodzą. Zwierają się pierś w pierś. Wre walka na bagnety i granaty ręczne.

Wtedy dowódca baonu decyduje się na użycie odwodu: rzuca pierwszą kompanię i drużynę kaemów.

Pędzą jak diabli. Nikt nie zważa na wytyczone ścieżki, wałą byle gdzie, aby prędzej dopaść. Przez pola minowe przeskakują z takim impetem, że miny rwą się już za nimi.

Ziemię zaścielają trupy niemieckie, 16 jeńców wznosi w górę drżące ręce, skomli o litość.

Przeciwnatarcie niemieckie odparte. Ale walka trwa nadal.

Niemcy kładą silne ognie zaporowe między Widmem i San Angelo oraz na



↓ Widmo

→ Podejście na stanowiska



Tu był kiedyś „Hotel Róży” w Cassino

→ Dym osłania przed obserwacją



na Śmierci

Wsch
ki

nasze tyły, żeby zatrzymać zaopatrzenie i dojsze posiłków. Mimo to koło godziny 6 podciąga drugi baon Lwowski, dowodzony przez majora B. I ci idą nie bacząc na nic, rozwiniętą tyralierą przez miny i pułapki. Przechodzą przez stanowiska pierwszego baonu, przeskakują przez ogień zaporowy i walą na San Angelo.

Już uchwycili podnóże góry i zaczynają przeć na szczyt.

Niemcy z grzbietu San Angelo biją w nich całą bronią: widać jak padają ranni i zabici. Ginie w tym uderzeniu siedmiu oficerów baonu. Padają ranni: kapitan Kr. z rozszarpaną piersią, porucznik M. z urwaną granatem nogą.

Baon prze naprzód. Już dochodzą do szczytu (pamiętajcie: dwieście metrów

byśmy się cofnęli, Niemcy okrążą naszych na San Angelo!

Baon na Widmie bije wściekle, zawzięcie. Niemcy powoli odchodzą.

Wtem do dowódcy baonu podbiega oficer ze San Angelo:

— Brak amunicji... rany boskie!... pomóżcie! dawajcie amunicję!

Albowiem na San Angelo stała się rzecz najgorsza, jaka może spotkać żołnierza: zabrakło amunicji. Choć każdy wziął jej tyle, ile zdołał udźwignąć, jednak w tym ogniu wyczerpało się wszystko.

Jakże walczyć bez amunicji? Na szczęście wnet ją dostają.

Dowodzący całością natarcia pułkownik R., przewidując taką sytuację, wysłał dwa czołgi na Widmo, które ciągną za sobą przyczepki pełne skrzynek z nabojami. Jeden z nich zostaje trafiony pociskiem niemieckim, lecz drugi dochodzi. Ponadto, przez cały czas akcji donosi amunicję oddział ppanc. pierwszego baonu. Z rozkazu majora St., podporucznik M., góral z Zaolzia, twardy chłop, jak oni tam wszyscy, obraca ze swymi ppancami w górę i w dół, dźwigając skrzynki. Kiedy który z żołnierzy osłabnie, sam chwytą jego ładunek i pędzi pod górę.

Zresztą, któż tu nie pracuje z największą ofiarnością, kto nie daje największego

Pułkownik chodzi po placu boju i czuwa nad wszystkim, co się dzieje. Kiedy widzi, że przeciwdzierzenie na Widmo odparte, gdy podrzucił amunicję na San Angelo — decyduje wesprzeć haratający się wciąż jeszcze z Niemcami drugi baon Lwowski. Dzięki dobrej pracy swoich kaemów, które przygłuszają niemiecką broń maszynową, baon prawie bez strat wchodzi na San Angelo. Za nim idą resztki dwóch baonów Wileńskich i trzeciego Lwowskiego.

Niemcy ostatecznie są ze wzgórz wyparci. Zmordowane śmiertelnie baony zapadają na noc na stoku San Angelo.

Czarne zwały chmur przysłaniają gwiazdy. Płyną nisko, tuż nad szczytami, wlokąc długie kudy mgieł po stokach. Wilgotny ziąb wstrząsa dreszczem ciała umęczonych żołnierzy. Leżą na zboczu San Angelo w pół jawie, w pół śnie, trawieni jeszcze bitewną gorączką. Wyczerpani nerwowo i fizycznie do ostatnich granic ciężką pracą wojenną, nadmiernym trudem żołnierskim, pragną w tej chwili jednego: wypoczynku!

Na razie mają spokój. Tylko jeszcze komandosi likwidują schrony na stokach. Rano 18 maja przychodzi rozkaz wycofujący baon do odwodu.

I kiedy żołnierze schodzą powoli ze

stoków San Angelo, nad klasztorem na Monte Cassino wznosi się do góry biało-czerwony sztandar.

Drugi Korpus Polski spełnił zadanie: otworzył drogę do Rzymu.

Dziś, kiedy piszę te słowa, na wzgórzach zwanym Widmo i w Dolinie Śmierci panuje spokój. Rzadko tylko zaleci tu jakiś niemiecki pocisk, ludzi nie widać wcale. Tylko jeszcze leje i wyrwy, może mnóstwo odłamków leżących wszędzie, może strzaskane hełmy i rozrzucona amunicja przypominają o tym piekle, jakie tu było przed niewielu dniami. Może tylko nieznośny odór zgnilizny, parujący z ziemi nasiąkłej krwią i z krzaków, w których leżą jeszcze szczątki rozszarpanych pociskami ciał, przywiodą na pamięć zło-wrogie nazwy tych miejsc.

Przełina dni, tygodnie, miesiące i Widmo nad Doliną Śmierci znów stanie się tym, czym było poprzednio — niewielkim spłachetkiem ziemi, trzema hektarami skały zarosłej gąszczem krzaków.

I tylko w Polsce dalekiej, po chatkach nad Wisłą, Wartą, Wilią i Dniestrem długo jeszcze żyć będzie we wspomnieniach zwycięstwo pod Cassino i krwawy znoj tych, co polegali i tych, co przeszli przez Widmo i przez Dolinę Śmierci.

Ruiny Cassino



Żołnierski posiłek

Po zdobyciu wzgórza 594

wysiłku ze siebie. Oto plutonowy J., łącznościowiec, ranny w nogę, idzie naprawiać uszkodzenie na linii.

Podczas pracy dostaje jeszcze jeden postrzał w plecy. Pomimo to roboty nie przerywa, odnajduje miejsce przerwane, nakłada złącze, wraca do kompanii. Tu oczekują go już z niecierpliwością: łączność z dowództwem baonu przerwana.

— Wal, bracie, zobacz gdzie tam znów takie syny rąbnęli!...

Plutonowy J. nic nie mówi o swoich ranach. Chwiejąc się na poranionych nogach idzie na linię. Z tej wyprawy już nie wraca: zemdlonego znajdują nad rannem. Ale uszkodzenie na linii znalazł i naprawił.

Porucznik G., lekarz batalionowy, posuwa się z punktem opatrunkowym tuż za nacierającymi kompaniami. Kto zliczy, ilu ludzi zawdzięcza życie jego natychmiastowej pomocy! Oto dwaj przyjaciele zsuwając się na plecach kamienną rynną znoszą ze szczytu ciężko rannego podporucznika Gr. Krew tryska strugami z poszarpanych tętnic. Tylko natychmiastowa transfuzja krwi może uratować rannego. I doktor dokonuje zabiegu tu, w krzakach, pod gradem pocisków, w nocy, bez światła — bo zaświecenie latarki ściągnie od razu ogień Niemców.

Na stokach wzgórz to tu, to tam, ukazuje się postać kapelana baonu, ks. Sł. Widać go wśród walczących, pochyla się nad rannymi. W życiu garnizonowym — w Egipcie i Palestynie — nie jednemu wyczytał ostry Pater Noster o sumiennym wykonywaniu obowiązków. Teraz sam daje przykład wzorowej obowiązkowości. W kieszeni munduru na piersi nosi skarb swój dzisiejszy — notatnik, w którym ma zapisane nazwiska tych, co przed bojem przyszli do niego po rozgrzeszenie i prosili, aby w razie ich śmierci zawiadomił rodziny, że polegali pojednani z Bogiem.

A nad polem walki góruje dowódca baonu, major St. On, który na ćwiczeniach tak zawsze przestrzegał, aby żołnierze zachowywali się bojowo, teraz w warunkach prawdziwego boju sam lekce-ważył swoje przestrogi. Bez hełmu, z laską w rękę, chodził wyprostowany między tyralierami.

— Nasz stary ma szczęście — mówią patrząc na niego żołnierze — kule go się nie imają...

skąty!), gdy z góry wali się na nich przeciwdzierzenie. Pękają granaty, plują ogniem Schmeiser'y i Spandau'y.

Pod gradem pocisków baon drgnął i począł spływać na dół. W połowie góry zapada w teren. Są tu już krzaki: przynajmniej jakaś osłona. Na pomoc podskakuje kompania komandosów i szturmowcy poznańskich ułanów.

Wszystko to odbywa się w straszliwym ogniu artylerii i moździerzy. Prawdziwe piekło. Równocześnie wychodzi niemieckie przeciwnatarcie z prawego skrzydła na pierwszy baon, na Widmo. Niemcy chcą wyprzeć go ze wzgórz.

— Utrzymać Widmo, które kosztowało tyle krwi i życia, za wszelką cenę! Gdy-





Dobry nastrój w dobrym towarzystwie



Powrót z pod Cassino

KANTYNIARKI NA FRONCIE

W kompanii kantyn wybuchł bunt. Najprawdziwszy w świecie bunt. Historia taka: wozy kantynowe, obsługiwane, każdy przez 4 ochotniczki, naładowane wspianymi towarami, pracowały uprzednio

na froncie, w dywizjach. Pewnego dnia w obozie „bazy kantyniarskiej” rozeszła się wiadomość, że kantyny zostaną przeniesione do szpitali i wysuniętych punktów sanitarnych. Zadanie: zaopatrywać

rannych w artykuły pierwszej potrzeby. Krystyna, najbardziej rewolucyjny duch wśród kantyniarek, wpadła do namiotu komendantki, protestując w najwyższym podnieceniu: — „Dwie Francuzki już zginęły na froncie, a my co?!”... Zbięrano się po namiotach i debatowano. — „Bez nas nie będzie ofensywy!” — „My chcemy do pierwszej linii!”... Na wozach kantynowych w dywizyjnych „em-peach” pojawiły się hasła: „Z kiełbaskami do pierwszych szeregów!”, „Z witaminą „C” naprzód!”.

I nie wiadomo, rewolta, czy napisy na wozach, czy inne rozkazy, ale tak się stało, że wyszedł kompromis: część kantyn zostaje przy oddziałach liniowych! Tego wieczoru dziewczęta pod kierownictwem Zosi odśpiewały pieśń wojenną. Tylko Zosia jeszcze nie wiedziała, że m. i. jej kantinę przydzielą do szpitala. Gdy zakomunikowano jej o tym, rozpłakała się. Próżno komendantka pocieszała ją, że to ważne, że taka praca w szpitalu przyniesie ulgę rannym, że to tylko czasowo...

19-letnia Zosia, wycierając niebieskie oczęta piąstkami, mówiła chlipiąc z cicha: „Ja chcę na front!... Ja chcę na front!”... „Front”, nie dlatego, że Zosia jest dzieckiem i pieści się. Skąd! — Zosia, to dorosła, poważna panienka. Nawet marzy, jak powiada, tylko godzinę dziennie, nie więcej. Po prostu, Zosia nie wymawia „r”...

Nastąpiły „przesunięcia bojowe”. Wóz Krysi z tyłowego oddziału przesunięto do czołgów. „Tylko na okres ofensywy”, mówiła Krysi, bo chłopcy powiedzieli, że bez nas nic nie wyjdzie”. Pułkownik kiedy mu panienki meldując się, powiedziały o tym, zapytał z uśmiechem swojego adiutanta: „Ofensywa?... Czy pan coś słyszał o ofensywie?”. Ale Krysi, mądra, wszystko wiedząca Krysi, powiedziała, nie dając dojść adiutantowi do głosu: „Ale, panie pułkowniku. Skąd pan może o tym wiedzieć?”.

Krysi miała rację. Przydzielono jej kantinę do czołgów i rozpoczęła się ofensywa. Dywizja Kresowa zdobyła San Angelo, a panienki „wspierały” żołnierzy, bo oprócz amunicji i temu podobnych wojennych akcesoriów, żołnierze zostali zaopatrzeni w mydło i kakao, placki i nici, papierosy i pasztety, chusteczki i wodę kolońską i nawet witaminy „C” w jabłkach. „Zaopatrzenie — jak określiły później sytuację wojenną panienki — działa doskonale”. Bo to tak: co dzień rano jest świeże pieczywo, świeżutkie placki i czasem nawet torty. Taka to współpraca piekarni polowej z kantinami. I co dzień rano z obozu, stanowiącego pewnego rodzaju bazę zaopatrzeniową, wyjeżdżają wozy, prowadzone przez Zosie, Tereski i Marysie, które zawożą pieczywo do kantyn na front i do

szpitali. To prawda, że wozy jadą często pod ostrzałem artylerii nieprzyjacielskiej. To prawda, że często trzeba leżeć pod wozem, dźwigać ciężkie bańki z benzyną i smarować oliwą upudrowany nos. Ale właśnie to wszystko jest powodem dumy małych pań wielkich wozów. Kantyniarki w szpitalach pracują po 24 godziny na dwie zmiany. Nie tylko mydło i papierosy, ołówki i placki są ważne. Niel Kantyniarki dostarczają żołnierzom również gazet i książek. Bo jest to przecież kompania nie tylko kantyn, ale i bibliotek ruchomych. Dziewczęta przeszły kurs świetliczarski i wiedzą dużo o demokracji i totalizmie, zagadnieniu międzywojnia i federacji europejskiej, mogą prowadzić pogadanki, zagajać dyskusje, a także robić komunikaty radiowe. Nic więc dziwnego, że któregoś dnia Rena zaproponowała ustanowienie dla pracujących kantyniarek specjalnej odznaki bojowej: „krzyża kabanosów”, tj. dwóch kiełbasek przypiętych na krzyż do piersi dzielnych kantyniarek.

Operacje bojowe, to jest ogólnospołeczne nie przeszkodziły operacjom prywatnym żołnierzy. — „Ja proszę o cały plackek”, mówił jeden z żołnierzy Dywizji Kresowej. „Nie można — odpowiada Wanda — musi dla wszystkich wystarczyć” — „Ale ja muszę mieć — dla siostry”...

W chwilę później zgłasza się inny i prosi panią Wandę na bok. „Czy pani nie ma, pyta z lekkim zawstydzeniem — w kantinie szminek?”... „A po co panu szminka — pyta Wanda. „A bo ja mam dziś zaręczyny”. Inni znowu proszą o placki i nici dla rodziny: dla siostry Rosetty i kuzynki Antonietty...

Wieczorem, po pracy, siadają dziewczęta na kocu, na trawie. Echo górskie stokrotnie odbija huk pocisków. Niebo jest czerwone od ognia... „Ja — mówi Halina — chciałabym mieć kantinę w Rzymie. Wezmę tam ślub z Gienkiem!”...

— „A ja — zastanawia się Stefka, absolwentka romanistyki, do której należy się zwracać we wszelkich sprawach związanych z literaturą francuską i włoską, tudzież w sprawach strategii kobiecej — ja chciałabym mieć kantinę we Florencji. Tam są najpiękniejsze zabytki sztuki i architektury z okresu renesansu”.

Zosia, mała Zosia chce mieć kantinę koniecznie w Wenecji i koniecznie w gondoli. „Przecież to takie cudne!”... — mówi, patrząc z rozmarzeniem w gwiazdy. „Pomyślcie dziewczynki — kantina w gondoli!”. A potem... potem z przestrawieniem w oczach, dodaje: „A... a czy pod gondolę też trzeba włożyć, żeby ją łepetować?”.

Ludwik Brzeski

Sprawiedliwy podział placka



NASZ BAŁTYK

Jest piękna — przynajmniej — skończone piękna dziewczyna. Wspaniale zbudowana. Śliczna... A jednak — jednak kochasz inne, nie tak piękne oczy, o innych myślisz ustach, i tęsknisz, tęsknisz za kimś, kto nie będąc klasyczną piękną, dla ciebie jest wszystkim — urodą życia.

Podobnie jest z morzem.

Błękit Morza Śródziemnego — muszę przyznać — jest piękny, bajecznie malarski, nieskazitelny. Wygnaniec z nad Bałtyku wzrusza się pierwszym, od tak dawna spotkaniem z bezmiarem morza, wyteżenie słucha znowu szumu fal, i jak kiedyś na piaskach Helu pragnie tylko patrzeć, słuchać i — nie być. To są pierwsze podniecone minuty, to jest uznanie piękna nowej znajomości, jeszcze jednego morza, a potem — rozczarowanie, fala tęsknoty mocniejszej, niż przedtem. Tęsknoty za swoim morzem, obiektywnie może nie tak pięknym, ale pierwszym, po raz pierwszy i najsilniejszy kochanym. Wraca się do swej miłości pierwszej...

Bałtyk jest zimny, czasem bardzo zimny. Jest najczęściej szaro-zielony, ale i błękitny, granatowy, aż czarny, i biały jak mleko, rzadko spokojny. W pobliżu portu gdyńskiego napojony tłustą oliwą. Bałtyk... nasza, młodych pokoleń polskich, największa miłość. Romantyzm z najczystszy realizmem związany.

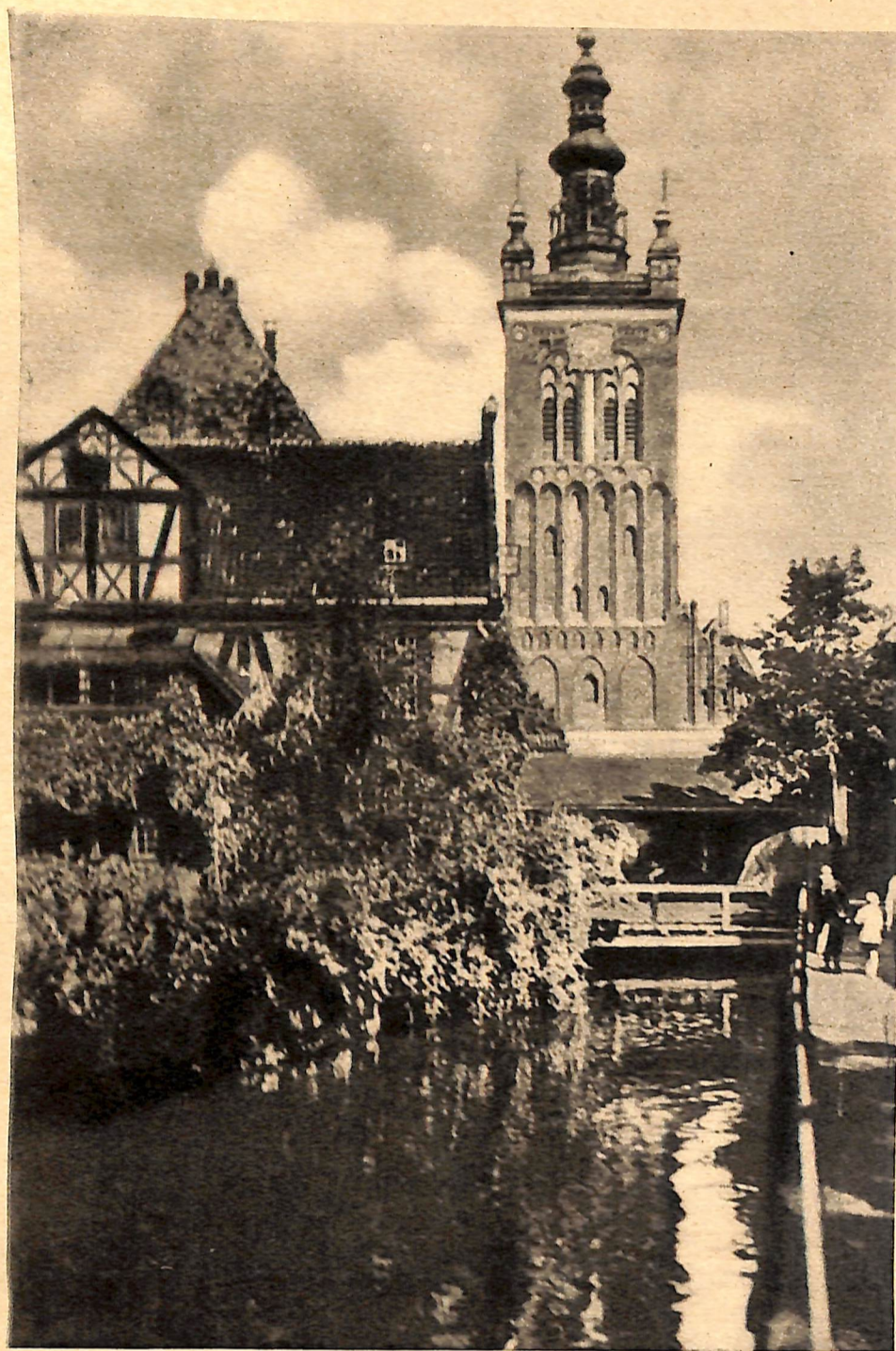
Skąpo, na miarę nędzarza, wykrojono nam po tamtej wojnie dostęp do morza, skazano na zależność od przedziwnego i planowo złośliwego tworu gdańskiego. Nie daliśmy się! Odrzuciliśmy małość ukrytą w zależności, sięgnęliśmy po wielkość. I tam właśnie, gdzie nas jeszcze nie było, stanęliśmy mocną stopą: nad morzem. Nad własnym morzem.

W 15 lat pod boki Gdańska wyrosła Gdynia. Tylko 20 kilometrów odległości, niemal zupełnie zabudowanej: Orłowo, Kolibki, Sopoty, Oliwa i Wrzeszcz. Wsparły się o siebie dwa miasta, Gdańsk o Gdynię, starość zaczęła o młodość i życie z niej czerpie. Nie było w Polsce większego kontrastu miast.

Gdańsk — miasto cudowne starością swych murów, które najpiękniejszym przemawiały językiem: polskim. Wysokie, Żółte i Zielone Bramy, orły białe, jeszcze nie wszędzie wyrwane, czy zamalowane, kręta Radunia bystro ku Motławie płynąca, spichlerze, w których zboże polskie na złoto i dobrobyt całego miasta zamieniano, wreszcie port ogromny, znowu Polską żyjący. Trzeba było nocą chodzić uliczkami Gdańska, posłuchać kurantów, grających z wież, odczytywać pilnie nazwiska polskie, zwłaszcza w najstarszej dzielnicy, trzeba było patrzeć nie tylko na starodawne mury, w których królom polskim hołdowano i wierności dotrzymywano, ale i w zacięte, uparte twarze tych, co przy odrodzonej Polsce się opowiadali i potem ofiarą życia to zaświadczyli, — aby dopiero zrozumieć Gdańsk, pojąć jego polskość; aby uwierzyć w świetną przyszłość tylko polską tego miasta, któremu Niemcy narzucili gwałt, wyrzucając wolność.

Zaledwie kilka minut jazdy dzieliło ów gwałt od wolności, przeszłość historyczną od teraźniejszości. W Gdyni nie liczyły się zabytki, nie było ich przecie! Znikły już i chaty rybackie, gdzieś tam pozostały stare drzewa, wieś pamiętająca. Morze kanałem wciągano w głąb lądu, miasto nabrzeżami wbijano w morze.

Cmentarz oksywski, zawieszony nad portem



„Katarzynka” i Radunia

Liczyło się natomiast wszystko, co powstało wczoraj, co wyrosło dzisiaj, co postawione miało być jutro. Każdy Gdynianin był „liczykrupą”, chodził i wchodził: liczył przyrost kamienia, ulic i sklepów, ton obrotu w porcie, miejscu nie tylko pracy, ale i spacerów, liczył i przyrost... dzieci.

W Gdyni przeważali młodzi. W życie wchodził już młodzi, którzy nabierali kiedyś wody morskiej do pamiątkowych butelek, potem w Akademickich Związkach Morskich, kochali się w morzu i nie tylko w morzu, a później zajęli miejsca w portach: w stoczniach i przedsiębiorstwach okrętowych.

Są w Polsce miasta, o których myśli się zawsze i natychmiast, kiedy mowa o Kraju ojczystym, miasta rodzinne, najpiękniejsze, bo — najdroższe. Ale jedno jest tylko miasto tak wszystkich jedno-

zące — miłością i świadomym posiadaniem: Gdynia! Chyba dlatego, że jest tak młoda i tak nasza własna, że wyraża tak najmocniej i najwidoczniej, w betonie i żelazie, możliwości wolnego narodu, własnego państwa.

Dzisiaj, w żółtym zapyłonym Kairze, muszę użyć koloru. Gdańsk widzę czarny, jak czarna jest woda Motławy, zczerniałe mury młyna krzyżackiego, jak posępnie czarne są swastyki, panujące jeszcze u ujścia Wisły. Gdynia jest oślepiąco biała — jasnością czystą swych domów i falochronów, pianą fal obryzgiwanych, jest tak biała, jak widoczna na horyzoncie kosa Helu.

Jasne miasto — młodości i uśmiechu. Rozrastające się piorunem, w tempie przedtem nieznanym w Polsce. Budowali je ludzie z wszystkich naszych ziem, w pierwszym rządzie młodzi, dla których

zapłatą były nie tylko pieniądze, ale i poczucie nabycia własności tego miasta, raz na zawsze.

Tak więc musiało być, że tutaj zaczęła się wojna, że pokój nasz naruszono właśnie w miejscu, które stanowiło najsilniejszy dowód przyszłej naszej potęgi. Ze stąd rozpoczęło się pierwsze masowe wysiedlanie ludności polskiej.

Nie urodziłem się nad morzem, ale Gdynia przestania mi inne miasta, nawet i wieś rodzinną, wieś mojej matki. Najmłodsze, a najmocniejsze miasto, betonem wrosło w piaski, kazało raz jeszcze uwierzyć w stawianie zamków na lodzie. I dało szczególnie wyraźne odczucie własnego państwa, tej rzeczywistości, o której dawniej marzono, a którą my młodzi braliśmy razem z życiem najpierw szkolnym, a potem samodzielnym. Nie urodziłem się w Gdyni... Ale wrócić pragnę tylko tam, i tam też zostać na zawsze. Na cmentarzu najpiękniejszym, jaki jest w Polsce, na wzgórzu Oksywie, tuż nad portem gdyńskim, nad basenem marynarki wojennej.

Pomyślałem o tym pierwszy raz na kilka lat przed wojną, stamtąd właśnie patrząc długo na Gdynię i zatokę. Dzisiaj myślę tym częściej, im częściej wojna łączy się z uczuciem — niepowrotu.

TADEUSZ PNIEWSKI



Promenada



Skwer Kościuszki



Ulica wysunięta w morze



Miasto widziane ze wzgórza

Sopoty

Gdynia ↑



P O L A C Y W I N D I A C H



Szkoła polska w Samajur

Po przybyciu drogą morską z Iranu do Indii uchodźcy polscy trafiają do obozu tranzytowego w Karachi. Zależnie od swej decyzji wyrażonej jeszcze w Iranie mogą jechać dalej do Afryki, Meksyku lub pozostać w Indiach. Uchodźców, którzy postanowili zostać w Indiach, Opieka Społeczna kieruje do centralnego ośrodka polskiego w Kolhapur. Jest to osiedle obliczone na 5.000 osób, w tym 500 dzieci w sierocińcu.

Od Bombaju, Kolhapur położony jest na południe, w odległości około 300 mil, licząc według trasy kolejowej. Około 100 mil dzieli Kolhapur od wybrzeży Oceanu Indyjskiego. Jedzie się z Bombaju 17 godzin koleją, trasa biegnie przez piękną, żyzną okolicę, urozmaiconą górami i rzekami. Zwłaszcza malownicza jest droga z Bombaju do Poony, miejscowości klimatycznej. Na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów kolej przecina łańcuch górski. W przerwach między tunelami widać skaliste, czarne góry, z których w okresie monsunu ściekają strumienie wody, spadające niewielkimi wodospadami. Czasem widać jar głęboki, tonący w drzewach liściastych, palmach, krzakach i innej, bujnej roślinności. Tu i ówdzie zwisają nad jarami chmurki delikatne i przezroczyste jak pajęczyna. Prawdziwa dżungla, kryjąca w sobie bogatą faunę jest niewidoczna. Na całej tej trasie masa wody jest wykorzystywana przez ludność miejscową do uprawy ryżu na wielką skalę.

Za Pooną kończą się góry i wjeżdża się w równinę, obfitującą w urodzajną glebę. Widać bogatą roślinność, krzaki kaktusowe palmy, mały, barwne ptaki i bydło pasące się na łąkach; widzimy bajecznie kolorowe stroje ludowe, mieniące się wszystkimi barwami tęczy, turbany na głowach mężczyzn, ciemny kolor ciała i twarzy Hindusów, noszących ciężary na głowach, dwukółowe wozy ciągnięte powoli przez woły. Nie ma wsi w rodzaju naszych. Tubylcy mieszkają przeważnie w prymitywnych szałasach. Murowane budynki są tylko na stacjach kolejowych oraz w miastach. Na kilkudziesięciu kilometrów przed Kolhapur teren staje się bardziej pofałdowany, usiany pagórkami. Osiedle nasze leży na pagórku w ładnej okolicy, otoczone uprawnymi polami. Szereg parterowych bloków mieszkalnych i budynków gospodarczych jednakowej wysokości, na kamiennych fundamentach, krytych czerwonymi dachówkami — to widok rzadki w tych stronach. Wszędzie zielen, dużo kwiatów. Na dalszym planie pasmo wzgórz z wysokim szczytem, niedaleko przepływa rzeczka. Warunki klimatyczne uzależnione są w Indiach mniej od szerokości geograficznej, a prawie całkowicie od wzniesienia nad poziom morza. Stąd spotykamy się często z faktami, że miejscowości położone od siebie w odległości 2—3 godzin jazdy koleją mają skrajnie różny klimat. Kolhapur jest pod tym względem szczęśliwie położony. Leżąc na wysokości 700 m nad poziomem morza, czyli na wysokości prawie Zakopanego, nie ma wielkich upałów, nie ma również zimna. Panuje miła temperatura, zupełnie możliwa dla Europejczyka.



Na wsi

Osiedle w Kolhapur robi wrażenie naszego letniska. Nie jest wioską, ponieważ korzysta z takich urządzeń kulturalnych, jakich nie spotykamy na wsi, nie jest też miasteczkiem; ma dużo zieleni, nie ma brukowanych ulic, hałasu i gwaru. Przy zalewach wsi — dobre powietrze, bliskość przyrody, niezamącony spokój — korzysta z przywilejów miasteczka, bo ma już dobrze urządzone szkoły, świetlice, kaplicę, codzienne wiadomości ze świata, przedstawienia teatru amatorskiego, chór, kółka sportowe, sklepy wyposażone w potrzebne do życia artykuły, gabinet dentystyczny i aptekę. W budowie jest kino. Osiedle otrzyma niedługo za zgodą rządu indyjskiego, polską nazwę.

W Kolhapur są dzielnice mieszkalne, obecnie urządza się dzielnicę „przemysłowo-handlową”, w której rozlokuje swe biura, warsztaty, sklepy i przedsiębiorstwa — rozwijająca się spółdzielnia „Zgoda”. Pośrodku tej dzielnicy jest kawiarnia na wolnym powietrzu, pod dużymi parasolami. Szpital, apteka, izba chorych, łazienki itp. tworzą odrębną dzielnicę. Oddzielną część stanowią będzie kościółek z wieżyczką oraz szkoły. Bloki mieszkalne i inne ustawione są kołem w stosunku do centrum osiedla. Po bokach uliczek, wzdłuż budynków ciągną się kwietniki. W godzinach rannych, przed

pracą oraz wieczorem po godzinach urzędowych, widzi się mieszkańców, pracujących gorliwie na swych grządkach, podlewających rośliny, pielęgnujących chwasty. Budynki mieszkalne mają z obu stron podcienia, mieszkania urządzone są w ten sposób, że drzwi jednego mieszkania wychodzą na jedno podcienie, a drzwi sąsiadów na podcienie przeciwnej strony budynku, czyli na inną uliczkę. Unika się przez to zbytniego zgęszczenia ludności na poszczególnych uliczkach. Mimo, że osiedle liczy już ponad 3000 mieszkańców, nie widać tłoku, nie ma tłumów, wszędzie panuje cisza i spokój. Część uchodźców pracuje w biurach, sklepach, warsztatach, dzieci, nauczyciele i wychowawczynie są w szkołach, personel sanitarny w szpitalach, pozostali, przeważnie kobiety, zajmują się gospodarstwem domowym.

Wieczorem ożywia się osiedle. W klubie-sświetlicy jest ruch przy pismach, książkach lub radio, wolne od pracy lub zajęć szkolnych dziewczęta spacerują po osiedlu, starszyzna wysiaduje na werandach.

W Kolhapur bije po prostu w oczy — czystość powszechnie panująca. Uderza też przybysza nastrój uchodźców. Twarze pogodne, zadowolone, działwa roześmiana. Nie słychać narzekania, nie odczuwa się ujemnych stron życia obozowego. Mimo, że w pobliżu jest miasteczko, nie ma wielu chętnych na wycieczkę, bo i po co? Chyba czasem grupa osób interesu-

posuwają się dygnitarze państwowi oraz tłum poddanych księcia-dziecka.

Pieców w naszym pojęciu w Indiach nie ma. W Bombaju, mieście liczącym 2 miliony ludności i w ubogiej wiosce hinduskiej jednakowo gotują sobie ludzie jedzenie na małych, ruchomych piecykach, na których rozpalają ogień z węgla drzewnego. Rozpalenie ognia na takim piecyku wymaga oczywiście wprawy, ale potem nie sprawia wielkiej trudności. Każdy uchodźca pobiera wystarczający zasiłek na wyżywienie i woli otrzymywać gotówkę, niż pobierać jedzenie ze wspólnego kotła. Możliwość dysponowania gotówką, czynienia zakupów, wybierania produktów, zademonstrowania swych umiejętności kulinarnych dodaje pewności siebie tym ludziom, którzy tak dużo krzywd i poniżenia doznali w ubiegłych latach. Poza zasiłkiem na wyżywienie uchodźcy otrzymują zasiłek na drobne wydatki (t. zw.: „pocket money”), oraz pełne wyposażenie w bieliznę, odzież, obuwie itp. Mają też możliwość samodzielnego rządzenia się w osiedlu. Główną podstawą życia uchodźców polskich w Indiach jest wydany przez Delegaturę Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej t. zw. Statut Uchodźstwa Polskiego w Indiach. Statut ten jest jakby małą konstytucją i to bardzo demokratyczną.

Z praw uchodźców płyną obowiązki. Przewidziana jest praca umysłowa w dziedzinie kulturalno-oświatowej i fizycznej. Jedna i druga uwarunkowane są posiadaniem odpowiednich zdolności. Od pracy fizycznej, która wynosić może powyżej 12 godzin na tydzień (może być skomasowana w ciągu 2—3 dni), zwolnione są osoby starsze (ponad 55 lat), matki karmiące, dzieci uczęszczające do szkół, osoby chore lub zatrudnione już w administracji osiedla. Wyłączone będą również osoby pracujące zarobkowo w warsztatach. Dzieci i kobiety korzystają ze specjalnej opieki i nie mogą być używane do ciężkiej pracy. Statut przewiduje surogat sądownictwa w postaci obywatelskiej komisji dyscyplinarnej, wyłonionej przez Komitet Uchodźczy. Kary są łagodne o charakterze wychowawczym.

Obecnie przebywa w Kolhapur ponad 3000 uchodźców, z czego kobiety (wliczając w to i dziewczęta powyżej lat 16), stanowią 50 procent, dzieci obojga płci ponad 40 procent, reszta to mężczyźni i chłopcy ponad 16 lat. 210 osób pracuje w administracji, 131 w warsztatach. Do szkół uczęszcza 1.148 dzieci.

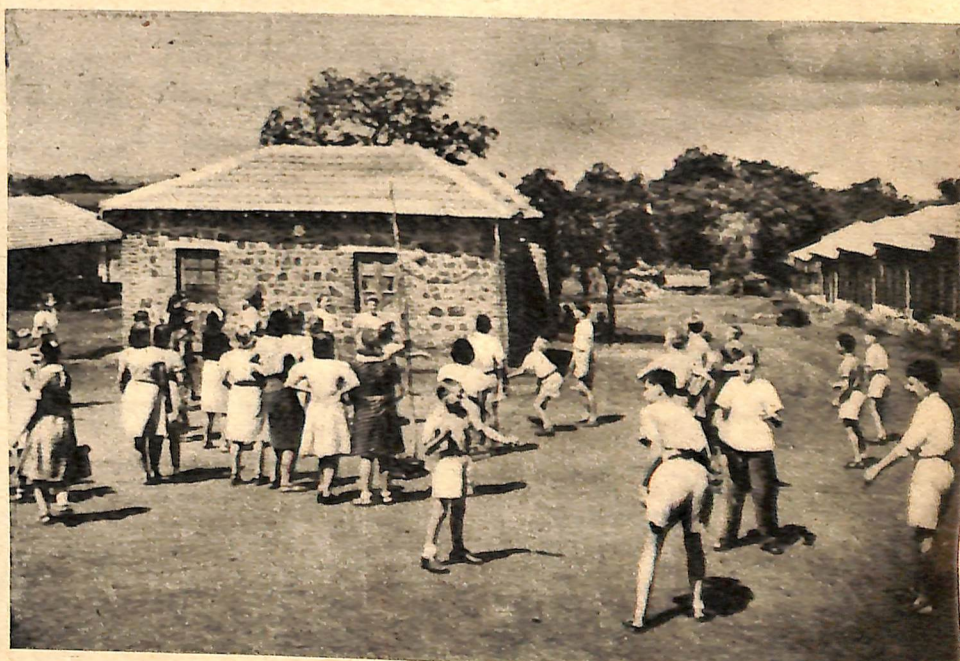
Osiedle istnieje od końca lipca 1943 r. Jest w nim przedszkole, liczące 2 oddziały, szkoła powszechna, gimnazjum i liceum. W Kolhapur istnieje pełne gimnazjum, do którego uczęszcza 336 uczniów. Młodzież skupia się w harcerstwie. A oto warsztaty: pracownia krawiecka, szewska, zabawkarska (lalki produkowane w tej pracowni cieszą się tu wielkim powodzeniem, znana z Polski firma „Bata” zamówiła 100 lalek w narodowych strojach polskich), warsztat tkacki produkujący bardzo ładne pasiaki, zakład fryzjerski, poza tym warsztaty — stolarski, ślusarsko-mechaniczny i murarski, jest też dział malarsko-graficzny i ogrodniczy. Buduje się piekarnię.

Sanitariat obsługuje ludność osiedla pod względem zdrowotnym. Na szczęście ludność korzysta z urządzeń sanitarnych bardzo rzadko. Warto jeszcze wspomnieć o straży obywatelskiej, która w dzień pilnuje porządku, a w nocy dba o bezpieczeństwo mieszkańców. Ma ona oczywiście swoich wrogów, a do najważniejszych z nich należą niewątpliwie... mały, które urządzają w nocy i nad ranem harce na dachach budynków.

Kolhapur żyje — nie najgorzej.

MARIAN BERCH

Siatkówka



W drodze na targ



Blado majaczyła jasna, polarna noc, snując się szarą mgłą, jak jesienny poranek. Biała noc syberyjska. Za godzinę pobudka podejmuje nas na obolałe nogi. Wtem, przed porą, do baraku wchodzi brygadier i świecąc sobie nad głową karbidową latarnią, woła: — Hej! Jest tu gdzie jaki lekarz? — Nikt mu nie odpowiedział. — Hej! Jest u was lekarz? — powtórza.

Błyszczą mi zbawcza myśl. Zrozumiałem nagle, że nadchodzi jedyna szczęśliwa sposobność ratunku. Jeśli nie skorzystam — zgine. Pracując bowiem od szeregu miesięcy przy wyrębie lasu i układaniu drewnianej drogi, byłem już u kresu sił.

— Kto tam tak wrzeszczy? — odezwał się z piętrowej pryczy sennym głosem, jak gdyby dopiero co się zbudził. — Jest lekarz? — odskrzyknęto z dołu. — A bo co? Zachorował kto? — spytałem obojętnie, powoli i przez nos.

— Lekarza potrzeba! — To mogę pomóc — zgodziłem się łaskawie. — Gdzie chory?

— Po cholere ci chory! Jesteś lekarz, czy nie jesteś? Gada!

— No, jestem — ociągając przyznałem się. — A jak pacjenta nie masz, to czego po nocy mordę drzesz i spać ludziom nie dajesz?

— Jakie twoje nazwisko? Wymieniłem, a on, fioletowym ołówkiem zapisał na deseczce, zastępującej mu kartkę papieru.

— Imię? Także podałem, jak również imię ojca, nieodłączną część każdego nazwiska w Rosji.

— Jutro nie pójdziesz na robotę, tylko czekaj, aż cię wywołają — powiedział i wyszedł wraz z jasnym kręgiem karbidowej lampy.

No, jakby nie było, czy się jutro zbłążnię, czy nie, w każdym razie jeden dzień mam wygrany! — pomyślałem. Poprawiłem na głowie czapkę-uszatkę, obróciłem się na bok i po raz pierwszy od dłuższego czasu usnąłem smacznie i beztrudnie. O świcie, jak zwykle wypędzają do lasu, a ja sobie leżę. Zaczem nie spiesząc idę po śniadanie, czekam w kolejce do fryzjera i daję się ostrzyć. Potem z nudów objeram kartofle w kuchni, za co otrzymuję miskę grochówki. Słowem — święto. Około południa przyszli po mnie:

— Masz zaraz iść do naczelnika. Kazał cię zawołać.

W małym domku z werandą mieści się biuro naczelnika. Idąc, zbieram myśli, choć jeszcze nie wiem, co będę mówił. Coś tam wymyślił się na miejscu, zależnie od okoliczności. Pamiętam jedynie zasadniczą radę, jakiej mi udzielił bandyta Wołodka, mój przyjaciel z mińskiego więzienia: „Jeśli rozmawiasz z jakimś naszym naczelnikiem, nigdy nie bądź za grzeczny. U nas nie lubią dobrze wychowanych inteligentów. Jak on ciebie zacznie rugać, to i ty się przejdź po jego mamusi. Wtedy nabierze dla ciebie szacunku, bo zobaczy, że jesteś do rzeczy, a nie miękuś i beksa”. Ilekroć stosowałem się do owych słów Wołodki, zawsze wychodziło mi to na dobre.

Wstępuję na werandę, pukam i wchodzę do wnętrza. Za biurkiem siedzi naczelnik, męczyzna w średnim wieku o regularnych rysach twarzy, niczym nie zdradzających zwyrodniałego sadysty, jakim był. Mówię dzień dobry i wymieniam swoje nazwisko. Czapki nie zdejmuję, jako że nie jest to w miejscowym zwyczaju. Odpowiada mi pozdrowieniem i wskazuje krzesło przed biurkiem. Siadam ze świadomą pewnością siebie, głęboko, nie na brzeżku. Naczelnik patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, po czym zadaje pytanie:

— Ty... lekarz...? — Tak.

— Hm... a może tylko felczer? — Nie. Lekarz, doktor.

— Tak powiedziałeś? — nie wierzył z czego widać, że nie był najgłupszy — Doktor? A nie tylko lekarski pomocnik?

Określenie to wymawia zresztą dość dziwnie: lek-pom. Jest to jeden z tysięcy fantastycznych skrótów, w jakich lubuje się współczesny język rosyjski.

— Jaki ja tam lekpom! — zachnąłem się, urażony w swej zawodowej dumie — jak mówię, że lekarz, znaczy się: lekarz! Przymrużył prawe oko, wydał wargi i kręcąc głową z powątpiewaniem odparł: — Ejże! Coś mi się wydaje, że żesz.

— Jeśli żę, to mogę z powrotem wracać do baraku. Nie ja przyszedłem do was, tylko wy posyłałście po mnie. Tak, czy nie?

— Nu, prawda — przyznał uczciwie.

— Czy ja się czegoś dopraszam? — ciągnąłem dalej — rabuję las tyle czasu, mogę rabać i dalej. Jak byście mnie wczoraj nie zbudzieli, to bym przecie tu teraz nie siedział.

Ten argument przekonał go. Jednak próbował jeszcze:

— A ty nie med-brat? — Medbrat to znów określenie męskiego odpowiednika siostry miłosierdzia.

— Medbrat — mówię — jest zaledwie nieco więcej, niż sanitariusz, a ja: lekarz. — Tak, gdzież ty się uczyłeś? — Wiadomo gdzie: na uniwersytecie. — O! Na uniwersytecie? Patrzcie go, jaki mądry! A w którym mieście? — W Warszawie.

— W Warszawie, powiadasz? — Pochylił się nad biurkiem i chcąc mnie schwytać na kłamstwie, z nagłą rzucił przez stół nad wyraz chytre pytanie: — A na jakiej ulicy?

— Na Marszałkowskiej — odrzekłem bez zająknięcia.

Wybrałem tę ulicę wiedząc, że jest najpopularniejsza i że będzie najbardziej dlań zrozumiała. Udało się. Ulica przypadała mu do gustu. Poprawił się w krzesło, uspokojony co do mego medycznego wykształcenia.

— Na Marszałkowskiej powiadasz?... Nu ładnie... a na lekarstwach znasz się? — Oczywiście! Co by ze mnie był za lekarz, jakbym nie znał się z lekarstwach. — No to zobaczymy. Zaczekaj za drzwiami.

Wyszedłem na werandę. Wkrótce pojawił się naczelnik z pękiem kluczy, kazał mi iść za sobą. Szliśmy w kierunku szpitala. Tu naczelnik wywołał farmaceutę, polecając przeegzaminować mnie. Wszyscy trzej wstąpiliśmy do małej izdebki. Przerażony staruszek aptekarz, zesłaniec od lat dziesięciu jedynie za to, że był synem fabrykanta, a farmację studiował w Niemczech, otworzył szafkę z medykamentami. Na półkach, równymi rzędami ustawione butelki i flakony, zaopatrzone były w łacińskie napisy. Odczytywanie zatem nie sprawiło mi trudności: krople walerianowe, jodyna, brom, maść cynkowa, opium, proszki Dowera, riwanol, protargol, płyn Burowa, kwas borny, gorzka sól, eter, anyżek — zwykła domowa apteczka. Objaśniałem więc przeznaczenie każdego specyfiku, zdejmując kolejno z półki fiaszeczki, pudełka i torebki, zastanawiając się mądrze, czytając i wachając. Zresztą sam fakt, że czytam łacińskie pismo był już dla naczelnika, znającego jedynie rosyjski alfabet, dostatecznym dowodem, iż jestem prawdziwym medykiem. Egzamin zdałem celująco. Otrzymałem klucze od ambulatorium i jeszcze tegoż dnia przeniosłem się do własnego pokoju przy izbie chorych. Osiągnąłem szczyt kariery, jaką można zrobić w obozie: zostałem lekarzem.

Do pomocy został mi przydzielony sanitariusz Romancew. Romancew, młody Ukraińiec z pod Kijowa, kapral sowiecki pełnił na fińskim froncie służbę w Czerwonym Krzyżu. Niestety miał zbyt długi język. Na urlopie w domu opowiadał, że w Finlandii można za kilka kopiejek kupić śliczny papier listowy i koperty. Nie tak, jak w Rosji, gdzie korespondencja odbywa się na kartkach wyrwanych z zeszytu, a koperty każdy sam sobie klei z gazety. Za te antypanstwowe pogaduszki kapral dostał osiem lat Syberii. Jako autentyczny sanitariusz, Romancew posiada ode mnie o wiele więcej wiadomości medycznych, postanawiam więc żyć z nim w przyjaźni.

Nazajutrz rozpoczynam przyjęcia. Gdy nakładam biały, szpitalny fartuch, dostrzegam w oczach Romancewa przerażenie. Okazało się, że nałożyłem fartuch tyłem do przodu. Drobnostka. Nie każdy może wiedzieć, że lekarskie fartuchy za wiązuje się na plecach. Za drzwiami, długą kolejką, stali chorzy, z niecierpliwością oczekując zbawczej pomocy. Kazałem wchodzić pojedynczo. Tego boli gardło, ten się pokaleczył, temu okruch wpadł w oko, któremuś krew poszła nosem, inny ma biegunkę. Na bandażowaniu, jodynowaniu, smarowaniu i mierzeniu temperatury upłynęło mi pół dnia. O zmierzchu ciągnął do mnie tłum niewidomych, chorych na kurzą ślepotę, których cudownie uzdrawiałem kilkoma łyżkami tranu. Książka chorych pokrywała się nazwiskami uszczęśliwionych pacjentów pana doktora, który jeszcze do niedawna sam nie wiedział, że z niego taki wspaniały lekarz. Pod sam wieczór przyszedł wielki jak piec Białorusin Stioptin. Usiadł na stołku i skarżył się: kaszel ma, katar i gorączkę. W uszach mu szumi, w głowie się kręci, w piersiach rżęzi.

— Zwolnienie chcesz na jutro? — pytałem.

— Zwolnienie, ale i postaw mi bańki.

— Dobrze. Kładź się.

Rozłożył się olbrzym Stioptin na drewnianym tapczanie, podciągnął koszulę na grzbiecie pod sam kark, odkrywając plecy, wielkie jak stół. Wyjąłem z pudła bańki, nakręciłem na mosiężny pręt wałę, umoczyłem w spirytusie, zapaliłem i rozpoczynam stawianie. Zresztą pierwszy poczynam stawianie. Zresztą pierwszy poczynam stawianie. Zresztą pierwszy poczynam stawianie. W lewej ręce: bańka, w prawej — zapalony pręt. Pręt w bańkę, bańkę na plecy i jakoś robota idzie.

Niestety, przy siódmej bańce pomyliły mi się ręce i zamiast do pleców przyłożyłem bańkę, przyłożyłem Stioptinowi pręt z palącą się watą. Dziki ryk był odpowiedzią na ten medyczny zabieg. Przysmażony olbrzym zerwał się z tapczanu i goły, z bańkami na plecach wyskoczył na mróz.

— Stój! — krzyknąłem za nim. — Bańki mi potłuczysz!

A chłop leży w śniegu i tarza się jak opętany. Romancew z trudem odnalazł pogubione bańki.

Szereg następnych dni upłynął na podobnie pełnej poświęcenia pracy, przy której wykazywałem swe wspaniałe zdolności lekarskie, tudzież rozległą wiedzę medyczną. Naogół obeszło się bez wypadków, jeśli nie liczyć kilku nieudolnie

wzajem dla dodania sobie animuszu, zabrałszy się do pracy. Coś straszno, co to był! Lepiej nie opisywać! Spociłem się przy tym gorzej, niż przy noszeniu cegły. W końcu jednak dzieło zostało uwieńczone wspaniałym skutkiem, przysporzyłem bowiem Związkowi Socjaldemokratycznemu jeszcze jednego, wrzeszczącego bolszewika.

I znów dnie upływały na bańkach, lewatywie, kroplach, proszkach, plastrach i bandażowaniu. Wśród pacjentów zaszkarbim sobie szczerą sympatię. Szczególnie polubił mnie stary Ałardan, Turkmen, któremu złamany wskazujący palec włożyłem w łupki tak nieumiejętnie, iż zrósł mu się zupełnie inaczej, niż należało. Dzięki temu Ałardan został raz na zawsze zwolniony z ciężkiej pracy w le-

TADEUSZ WITLIŃ

Byłem doktorem

zrobionych zastrzyków oraz wlewu pacjentowi do oka kropli przeznaczonych do nosa.

Pewnego popołudnia zjawił się Arastanow, Tatar, dziesiętnik i bandyta, który dawał mi ciężką szkołę, gdy pracowałem w jego brygadzie. Teraz prosi mnie o pomoc: łamie go w krzyżu, że nie może się zgiąć. Kazałem położyć się i zrobiłem łobuzowi taki racjonalny masaż, że potem nie tylko nie mógł się zgiąć, ale i wyprostować.

Co tydzień przychodził do mnie kucharz z prośbą o kilka kryształków kaliumpermanganicum. Dawałem, nie wiedząc na co mu potrzebne. Gdy wreszcie zaciekawiony spytałem po pewnym czasie, kucharz wyjaśnił, że robotnicy, którzy wyrabiają sto pięćdziesiąt procent normy, otrzymują na obiad premię w postaci kotleta. Była to istotnie wysoka nagroda, jako że innym skazańcom nigdy mięsa nie dawano. Że jednak potrawę tę preparowano z koni zdechłych na malarię, przeto dla zabicia bakterij polewano kotlety dezynfekcyjnym roztworem. Po owym wyjaśnieniu rozumiałem, dlaczego najlepiej w obozie robotnicy nieraz skarżyli się, że cierpią na wymioty.

W nocy zbudziło mnie silne kołatanie: — Ty, lekarz! Wstawaj!

Otworzyłem. W prugu stał żołnierz z latarką i karabinem.

— Odziewaj się i chodź ze mną.

Szybko nałożyłem ubranie. Wyszliśmy. — Dokąd idziemy? — spytałem, gdy opuściliśmy odrutowaną część obozu, wstępując na leśną ścieżkę, wiodącą w stronę oświetlonej kolonii parterowych budynków.

— Do wolno najmniej — wyjaśnił.

— Chora?

— Gdzie tam chora! Rodzić będzie ścierwo.

Włosy zjeżyły mi się na głowie. Rany Boskie! Jak ja się do tego zabiorę? Pojęcia zielonego nie mam.

— To dlaczegoś mi przedtem nie powiedziałeś? — zawołałem w najwyższej rozpaczy. — Wziąłbym z sobą instrumenty!

— A na co ci instrumenty? Co ty muzykant jesteś? Grać tam będziesz?

— Więc co? Tak, z gołymi rękami?

— Nożyczki, szmatkę i gorącą wodę baba ma, więc czego potrzeba ci więcej?

— A skąd ty się tak na tym znasz?

— Bo mnie moja urodziła sześcioro, a ja ni razu nie brałem do niej nikogo, tylko sam.

— Toś ty sprytny. A denaturat popić lubisz?

— Pewnie, że lubię, bo co?

— Bo jak mi pomożesz, to ci jutro dam kieliszek denaturatu.

Obietnica była królewska, gdyż w obozie kropli spirytusu nie było. Przystaliśmy, skręciliśmy machorkę, zapalili, zaciągnęliśmy mocnym, gryzącym dymem, pospuliwali solidnie, po czym wolnym krokiem, nie spiesząc, ruszyli w dalszą drogę. Gdy po godzinnym spacerze przybyliśmy wreszcie na miejsce, kobieta już rodziła. Mój wartownik odstawił karabin w kąt, ja zdjąłem fufajkę, zakasałem rękaw i we dwóch, pokrzykując na siebie

się, otrzymał lekkie zajęcie w kuchni i szczęśliwy błogosławił mnie przy każdej sposobności.

Jednego ranka sprowadzono Kozakowa. Miał paskudnie rozchlastaną stopę. Zatałmowałem krew, zrobiłem opatrunek. Chłopak miał osiemnaście lat, siedział już od trzech, a jeszcze drugie tyle zostało mu do odbębnienia. Wyrok dostał dlatego, że zarznął rodzoną matkę, ponieważ nie chciała mu dać rubla na kino. I za takie przestępstwo skazali go zaledwie na sześć lat. Sąd bowiem wziął pod uwagę młodociany wiek oraz okoliczność, że chłopak chciał pójść na film o bohaterze narodowym Czapaiewie, a matka uniemożliwiła mu to. Syn mógł przeto wpaść w święte oburzenie. Po opatrunku, młodego zbrodniarza zabierają do izolatora. Kozakow bowiem sam umyślnie rozwalił sobie siekierą stopę, by pójść do szpitala, gdzie dadzą lepiej jeść i nie kaza pracować. Zamiast do szpitala idzie teraz do aresztu na wodę i czterdzieści gramów chleba dziennie.

Tegoż dnia zjawiła się w ambulatorium komisja. Stwierdzili czystość, porządek, pracowitość, dobre traktowanie pacjentów, przejrzyli z uznaniem książkę chorych i zawartość apteczki.

— A tu, co takiego? — już na odchodnym spytał mnie przewodniczący, wskazując stojące na szafie duże, blaszane pudełko.

Wziąłem je do ręki i otworzyłem.

— Szara maść.

— Nie, to nie szara maść. To maść doktora Wilkinsona. A na co ty ją używasz?

— Wcale jej nie używam.

— Tak? To interesujące. A przeciw czemu używa się maści Wilkinsona?

Zrobiłem głupią minę, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— To z ciebie dobry lekarz, jak tego nie wiesz — oświadczył przewodniczący, — bo w sowieckim państwie najmniejszy dzieciak wie, że maść Wilkinsona jest od świerzbii.

Uśmiechnął się kwaśno i wyszedł wraz z innymi, złowrogo zamykając za sobą drzwi.

Nazajutrz o piątej nad ranem zbudził mnie brygadier Tittow.

— Te, lekarz! Wstawaj na zbiórkę i bieraj się z rzeczami. — Od dziś idziesz na ogólne roboty. Węgiel będziesz kopał.

Zrozumiałem, że to koniec idylli. Nałożyłem watowane portki, buszłat i walonki, wzięłem mój żelazny kociołek i poszedłem do okienka, gdzie wydawano śniadanie: łapsze, czyli lepkie kluski z ciemnej maki.

Potem na placu stanąłem w szeregu na zbiórce, gdzie nas liczone nieskończoną ilość razy. Wreszcie konwojent zarepetał broń, wygłosił formułkę, że usiłującego uciekać, natychmiast zastrzeli i w milczeniu ruszyliśmy noga za nogą. W szarych, zimnych oparach wstającego dnia majaczyły z oddali — sztolnie — szachty kopalni węglowych. Szliśmy w głuchym milczeniu, marznąc i ścisnąc pod pachą po kawałku czarnego chleba. Tylko szczekał, prowadzony na linowce pies.

— O doktorze Wilkinson! Wynalazco maści przeciw świerzbii! — Bodajbyś z piekła nie wylazł!

ROSJA POWINNA BYĆ POZA EUROPA

Wychodząca w Londynie „Picture Post”, z 13 maja 1944 r., zamieściła następujący artykuł wybitnego publicysty angielskiego A. Voigta, redaktora „The Nineteenth Century”:

Po raz drugi odrzucamy Niemców na właściwe im miejsce. Aby utrzymać je tam musimy być silni. Jeśli się rozbroimy lub zawierzymy, zamiast własnej sile, nowej Lidze Narodów lub „zbiorowemu bezpieczeństwu”, ogarnie nas trzecia wojna światowa. Prawdą jest, że potrzebujemy sojuszników na kontynencie europejskim, ale utrzymamy ich tylko wtedy, jeśli będziemy mocni. Siła przyciąga, słabość odstrasza. Gdybyśmy utrzymali naszą siłę po pierwszej wojnie światowej, nie byłoby drugiej.

Niektórzy mówią, że stale nie możemy utrzymać w ryzach wielkiego narodu, że nie można ciągle osłabiać Niemców. Być może. Ale nie o to chodzi, by Niemcy byli słabi, lecz o to, abyśmy byli silni — mocniejsi od nich. My i nasi sojusznicy po tej wojnie możemy zachować naszą moc, co mogliśmy zrobić również i po tamtej. Opowiadanie o wytępieniu Niemców jest nonsensem. Warunki pokoju muszą być surowe, umożliwiający jednak Niemcom życie, pracę i dobrobyt. Ich miejsce jest w Europie, jednak nie przodujące, a czasem muszą przyłączyć się do rodziny europejskiej, jednak nie jako przywódcy.

Czy z załatwieniem kwestii niemieckiej, będzie rozwiązany również problem europejski?

Problem europejski. O co tu chodzi? Po prostu: aby każdy w Europie miał swoje miejsce i wszyscy je zachowali, a jeśli jeden lub drugi, jak Niemcy, nie dostosuje się do tego, aby został poskromiony.

Europa nie może być Europą, spokojną i w dobrobycie żyjącą rodziną wolnych narodów, jeśli będzie opanowana przez jakiegokolwiek mocarstwo.

PROBLEM EUROPEJSKI

Innymi słowy, problem europejski jest zagadnieniem utrzymania pewnej proporcji, pewnej równości i harmonii w Europie, pewnej równowagi: — równowagi sił. Są ludzie, którzy uważają, że równowaga sił jest już niemożliwa. Nie prawda! Jest ona warunkiem dalszego życia Europy — również i naszego.

Bez tej równowagi sił zginęłaby nasza cywilizacja. Są również inne cywilizacje, które mogą być lepsze lub gorsze. Cywilizacja chińska jest starsza, rosyjska — młodsza od naszej i coraz bardziej skomplikowana. Nasza cywilizacja wywodzi się ze starożytnej Grecji, Rzymu i Palestyny, odnawiając się zawsze z tych samych źródeł. Mieli w niej udział Niemcy, ale się zbuntowali. Gwałcili i ciągle jeszcze gwałcą pisane i nie pisane prawa naszej cywilizacji, i stąd ich wstrętne zbrodnie. Tak postępuje zawsze naród, buntujący się przeciw cywilizacji.

Mówiono nam często, że cywilizacja jest wprawdzie wspaniałą rzeczą, ale nie warto o nią prowadzić wojny światowej. Jednak jeśli nie chcemy walczyć o cywilizację, musimy walczyć o nas samych, aby jako naród żyć w pewnym spokoju, wolności i dobrobycie. Dla nas, ani dla naszych dzieci bez Europy nie ma pokoju, wolności, ani dobrobytu. Bez Europy nie będzie też Anglii!

Mocarstwo lub koalicja mocarstw, panująca nad Europą, będzie mogła zawładnąć wyspami brytyjskimi. Dlatego to Anglia walczyła z Francją Napoleona i dwukrotnie wojowała z Niemcami. Gdyby zwyciężył Napoleon, gdyby Niemcy wygrały ostatnią lub obecną wojnę, mieszkający tych wysp, łącznie z Irlandią, tracąc wolność, zubożeliby — bardzo by zubożeli. Wyspy brytyjskie w szczególności sposób zależą od zamorskich rynków, kapitałów i linii komunikacyjnych, a także od Dominów. Zależność ta zagraża bardzo wyspom brytyjskim. Stany Zjednoczone, Francja, Rosja, Niemcy itp. mogłyby przeżyć klęskę, nawet po stracie

wielkich obszarów, ale nie przetrzymała by tego Anglia.

Kto zechce opanować Europę po drugiej nieudanej próbie Niemiec? Przede wszystkim Niemcy zdobędą się na trzeci zamach, jeśli tylko zdarzy się sposobność. Równowaga sił, utrzymana w Europie, nie da im żadnej okazji. Inne mocarstwa, lub ich koalicja, mogą zagrozić Europie naturalnym wzrostem siły lub ekspansją. W istocie, tak będzie, jeśli do tego dopuścimy. Między narodami nie ma stałej przyjaźni, ani stałego antagonizmu, sojusznicy dzisiejsi mogą być jutro wrogami, a nieprzyjaciele obecni stac się mogą przyszłymi sprzymierzeńcami. Jest to jedna z tych nielicznych rzeczy, których trzeba się nauczyć z historii, zwłaszcza z naszej własnej. Francja w latach przeszłych może znów wzmocnić się i sprzymierzyć z Niemcami, tworząc razem najsilniejszy sojusz! Włochy już dzisiaj skłaniają się do przymierza z Rosją, która znów napewno rozwine swą własną politykę wobec Niemiec. Współpraca między Rosją i Niemcami, w kierunku niemieckiej, jest prawdopodobna.

Widać właśnie już teraz, że Rosja zamierza stać się władczynią Wschodniej Europy od Arktyku do morza Egejskiego. Wielokrotnie ogłaszała swoje zamiary — anektowania całości trzech państw i wielkiej części trzech dalszych: całej Estonii, Łotwy i Litwy, części Finlandii, około połowy Polski oraz części Rumunii. Z tych krajów trzy pierwsze, które uciepałyby najwięcej, są neutralne, dwa inne zostały zmuszone do wojny po stronie naszych wrogów, wreszcie pozostałe państwo, Polska, jest naszym sojusznikiem.

OGROMNE AMBICJE ROSJI

Jeśli niedawny układ między Rosją i Czechosłowacją wszedł w życie, Czechosłowacja stałaby się częścią organizmu gospodarczego Rosji i byłaby stracona dla Europy, ze względu na zamkniętą gospodarkę rosyjską. Rosja zawładnęłaby wtedy całą środkową Europą, której sercem, politycznie i przemysłowo, jest przecież Czechosłowacja. Gdyby pozostawiono wolną rękę „marszałkowi” Tito i jego stronnikom, rozpadłaby się Serbia, najsilniejszy narodowo obszar w południowo-wschodniej Europie. Plan Tita nowego podziału Jugosławii nie pozostawia co do tego żadnej wątpliwości. Rosja opanowałaby wtedy Bałkany.

Lt. Col. PATRICK FERGUSON

Z „WYNURZEŃ AUTOBIOGRAFICZNYCH”

We wrześniu 1777 r., Patrick Ferguson, dowódca korpusu piechoty i najlepszy strzelec brytyjskiej armii, ukrył się z kilku ludźmi na skraju lasu w pobliżu Brandywine, Pensylwania.

Nagle jego palce ścisnęły karabin. Zaledwie o 100 jardów przed nim wjeżdżało na pagórek dwu oficerów armii nieprzyjacielskiej. Jeden z nich ubrany był w huzarski mundur; drugi, siedzący na rosnącym kasztanie, nosił ciemnoniebieski uniform i uderzająco duży kapelusz. Obaj jeźdźcy stanowili łatwy cel. Ferguson dał znak do otwarcia ognia, lecz w tej samej chwili zawahał się i odwołał rozkaz. Nie mógł strzelać w plecy bezbronnym ludzi.

Dwaj nieprzyjacielscy oficerowie kłusowali obok, oficer w dużym kapeluszu znalazł się zupełnie blisko. Ferguson zawołał go. Jeździec spojrzął na

Czy jednak możemy pozwolić sobie na konflikt z Rosją i czy w ogóle jest to możliwe? Nie stać nas na to w tym samym stopniu jak i jej. Bez pomocy Rosji mielibyśmy kiepskie widoki na wygranie wojny. Ale bez pomocy naszej i Ameryki, w sprzecie wojennym i żywności, zwycięstwa rosyjskie byłyby nie możliwe (bez brytyjskiej i amerykańskiej żywności — Czerwona Armia nie mogłaby się wyżywić). Niemcy muszą utrzymywać tak wielkie siły w zachodniej, południowej i południowo-wschodniej Europie dla powstrzymania anglo-amerykańskiej, obecnej i przyszłej inwazji, że na wschodnim froncie Rosjanie uzyskali przewagę w stosunku przynajmniej 2 do 1, a lotnictwo niemieckie może być tam użyte tylko w bardzo nieznacznej ilości.

Kto jest panem środkowej Europy, może stać się panem całego kontynentu, kto jest panem Bałkanów, panuje również nad wschodnią częścią morza Śródziemnego i może kontrolować drogi morskie, niezbędne dla handlu i w ogóle dla bytu Imperium Brytyjskiego.

EUROPA NIE JEST ROSJI POTRZEBNA

Cała Europa jest niezbędna dla Anglii, jednak nie dla Rosji!

Niezmierne obszary i bogactwa naturalne dają Rosji możliwości ogromnego rozwoju. Nie potrzebuje obawiać się nikogo i jeśli orężna siła Niemiec zostanie złamana — Rosja będzie w starym świecie jedynym mocarstwem, całkowicie bezpiecznym. Warunkiem jednak jest sąsiedztwo przyjaznej Europy. Największym i całkowicie niepotrzebnym błędem Rosji byłoby wzbudzić przeciwko sobie niechęć Europy.

Mimo wszystko Europa jest probrytyjska, ponieważ Wielka Brytania jest jedynym mocarstwem, które nie chce panować nad Europą i którego, poza wrogami, nikt się nie obawia, czy nienawidzi. Nie żąda ani jednej mili kwadratowej obszaru Europy! Dlatego właśnie cała Europa jest probrytyjska i wszystkie małe narody wierzą, że Anglia wygra również i pokój. Nawet wśród naszych nieprzyjaciół coraz bardziej wzrasta liczba ludzi, którzy mają nadzieję, że po zwycięstwie Anglia stanie się również mocarstwem przodującym w Europie.

Mówimy łaskawie o małych narodach, potrzebujemy ich jednak równie silnie, jak one nas; potrzebujemy ze względu na własne bezpieczeństwo. Bez niepodległej Danii, Holandii oraz Belgii, nasze morze byłoby opanowane przez najbliższe z mocarstw kontynentalnych. Głównym celem naszej polityki zagranicznej jest, lub powinno być, zawarcie trwałej przyjaźni z Francją. Jeżeli tego zaniedbamy, Francja może nawiązać współpracę z Niemcami. Tak samo Rosja. Jeżeli kraje bałkańskie nie utrzymają swej niepodległości, Bałkany opanowane zostaną przez jedno mocarstwo, a my „zyskamy” tylko zagrożenie wschodniej części basenu śródziemnomorskiego. Utrata niepodległości przez państwa bałtyckie lub zamiana ich na wasali jednego mocarstwa oznaczałaby zamknięcie Bałtyku. Nie będzie bezpieczeństwa dla Europy jako całości, a więc również i dla nas, jeżeli Polska, Czechosłowacja, Węgry i Rumunia nie będą niepodległe.

Europa jest nam potrzebna zarówno dla naszego handlu, jak i bezpieczeństwa. Poświęciliśmy wiele z naszych kapitałów, inwestowanych w krajach zamorskich. Straciliśmy wszystko na Dalekim Wschodzie. Niewątpliwie odzyskamy wiele, ale cała przyszłość Dalekiego Wschodu, szczególnie Chin, jest niepewna.

W Europie mamy niezmierne możliwości. Północno-wschodnia, wschodnia i południowo-wschodnia Europa jest zdolna do ogromnego rozwoju i mogłaby stać się jednym z naszych najważniejszych rynków. Mogłoby to przyczynić się wielce do gospodarczej odbudowy świata. Małe narody bałtyckie — Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa z ludnością poniżej 10 milionów, brały większy udział w międzynarodowym handlu przed wojną, niż całość Związku Sowieckiego, zamieszkałego przez ponad 170 milionów.

Wydaje się nadto, że walczyliśmy o pewne zasady równie dobrze, jak i o nasz byt. Traktaty, które zakończyły pierwszą wojnę światową, pomimo wielu błędów, były największym narzędziem wolności, kiedykolwiek skonstruowanym przez ludzi. Druga wojna światowa grozi ujarzmieniem wielu narodów, oswojonych przez pierwszą.

Wszystkie te narody zaczęły się dobrze rozwijać w okresie między dwiema wojnami. Obecnie wysuwa się liczne argumenty dla przekonania nas, że ten lub ów mały naród nie ma prawa do wolności, albo że powinien być pozbawiony połowy swego obszaru. Argumentacja taka jest częścią tej szkodliwej rzeczy, którą nazwano propagandą. Większość z nich bierze się z ksiązek historycznych; z historykami jest wiele kłopotów — w większości nie żyją oni teraz; większość, jeszcze mniej przyszłością, a tylko przeszłością; myślimi tkwią w dniu wczorajszym, nigdy w jutrzejszym. Wszystkie argumenty, według których pewne narody powinny zginąć, a inne mają być okrojone, są równie fałszywe, jak i niegodziwe.

MY POTRZEBUJEMY EUROPY, A EUROPA NAS

My potrzebujemy Europy a Europa nas — cała Europa wolnych narodów, wielkich i małych, Europa nie zawładnięta przez nikogo, Europa o nie gwałconych granicach (wszystkie granice są nietykalne); Europa, która utrzymywana będzie sąsiedztwa stosunki z Rosją, Europą, w której i Niemcy zajmą swoje miejsce, chociaż niezbyt wielkie, wreszcie Europa, którą stać będzie na pokój, handel i bezpieczeństwo dla wszystkich, łącznie z nami.

Jeśli z drugiej wojny światowej wyjdzie taka Europa, pokój będzie również wygrany jak i wojna.

J. K.

(Wolny przekład z angielskiego).

SKOŃCZONA PIEŚŃ



Podziemia klasztoru Cassino

Czym miało być Cassino w planach niemieckiego sztabu, czym było ono dla propagandy niemieckiej, to najlepiej widać ze świadectw samych Niemców.

Warto sięgnąć do kilku z nich dzisiaj, gdy zwycięskie polskie dywizje nie tylko zdobyły Cassino, ale złamały cały system obrony niemieckiej na odcinku Monte Cassino — Monte Cairo, którego Cassino było najbardziej na południe wysuniętym bastionem.

Załopotały polskie sztandary, zatknięte przez dywizyjny pułk rozpoznawczy „Karpackiej” na gruzach klasztoru i przez ułanów „Kresowej” na szczycie Cairo, na który wspinaczka trwa 4 godziny. A między nimi leżą w gruzach potężne umocnienia wzgórz zdobytych w walce na granaty i bagnety przez piechotę obu dywizyj, wzgórz, na których wyborowe bataliony niemieckich spadochroniarzy idących na luzowanie, zmełła artyleria polskiego korpusu.

— A jeszcze nie tak dawno, bo 28.III 1944 rzeźnik wojskowy niemieckiego radia gen. Dietmar mówił przez radio w odczycie pod znamennym tytułem: „Cassino — lekcja dla Europy”, dosto-

wnie: „...Wierzymy, że walka o Cassino ma specjalne znaczenie z powodu niezwyklej strategicznej ważności tego obiektu, miasta i okolicznych wzgórz...”

Wtedy jeszcze gen. Dietmar nie dopuszczał myśli o upadku Cassino, mówiąc:

„Jeśli Cassino jest godne imienia włoskich Termopil, to porównanie to tyczy tylko morale naszych obrońców, ale nie sięga dalej...”

Jesteśmy skłonni uważać walkę o Cassino za specjalnie ważną, prawie symboliczną w innym znaczeniu. Nie myślimy o jej znaczeniu dla nas, lecz o jej znaczeniu dla wroga, który z nami walczy...”

Cassino miało więc być tą nauką, której celem było zniechęcić Sprzymierzonych przed dalszymi próbami łamania niemieckiej fortecy. Miało być lekcją dla całej Europy, której miało udowodnić, że tam, gdzie Niemcy chcą się bronić, nikt ich nie pokona.

Z dalszych wywodów niemieckiego generała w tym radiowym przemówieniu

wynikało, że niemieckie nadzieje na utrzymanie Cassino polegały przede wszystkim na przekonaniu, iż morale doborowych oddziałów niemieckich broniących Cassino jest tak wysokie, że żadne wojsko nie zdoła mu dorównać.

Gdy dziś chodzi się po opuszczonych bunkrach niemieckich, co krok znajdujemy dowody, że niemieckie dowództwo i niemiecka propaganda zrobiły wszystko, by morale niemieckiego spadochroniarza i żołnierza 5 dywizji górskiej utrzymać na najwyższym poziomie. W bunkrach nie tylko leżą stopy konserw, beczki rumu i setki butelek po winie oraz walają się dziesiątki książek, wydawnictw propagandowych, dzienników. Obfita literatura poświęcona bohaterstwu żołnierza, broniącego Cassino.

Oto leży w schronie dowódcy majora von Ruffina plik świeżo przysłanych, jeszcze nie rozdanych pomiędzy żołnierzy kolorowych portretów spadochroniarzy — dumi i nadziei niemieckiego do-



„Paradę” czytają w pierwszej linii

wództwa, uzbrojonych po zęby, wychowanych na śmierć, uważających Fuehrera za jedyne bóstwo.

Koło schronu leży gnijące, porwane pociskiem artyleryjskim, ciało niemieckiego żołnierza i walają się fotografie jego i koleżków, butnych, idących jeszcze wczoraj na podbój świata.

W głębokim jarze leżą strzępy munduru. Ciało już uprzątnięte, pewno zniesione na kupę, na którą zewsząd znoszą straszliwie cuchnące szczątki. Schylam się nad strzępem rękawa i podnoszę leżący obok numer niemieckiej gazety „Muenchner Illustrierte Zeitung”. Tak, to też dla nich, obrońców Cassino, pisane.

Tłumaczę idącym obok mnie „Żubrom” napisy pod fotografiami:

„Zielone diabły z Cassino... Tak nazwali nieprzyjacielscy reporterzy wojenni, obrońców i w ten sposób oddali mimowolny hołd tym ludziom, którzy z rozwało-



Szturm w zasłonie dymnej

nych budynków i gruzów uczynili piekło dla coraz to nowych nacierających oddziałów angielskich i amerykańskich”...

„...Z granatami ręcznymi i ładunkami materiałów wybuchowych od domu do domu. Często wróg jest już tylko o kilka metrów, w następnej kupie gruzów, albo w sąsiednim korytarzu. Potrzeba wtedy największej uwagi i ostrożności, by niepostrzeżenie podleźć do niego”...

„...Moździerzowcy naszych spadochroniarzy”...

„...W huraganowym ogniu nieprzyjacielskiej artylerii”...

Tytuł reportażu krzyczy wielkimi literami: „Cassino Heldenlied Deutschen Soldatentums (Cassino pieśń bohaterstwa niemieckiego żołnierza).

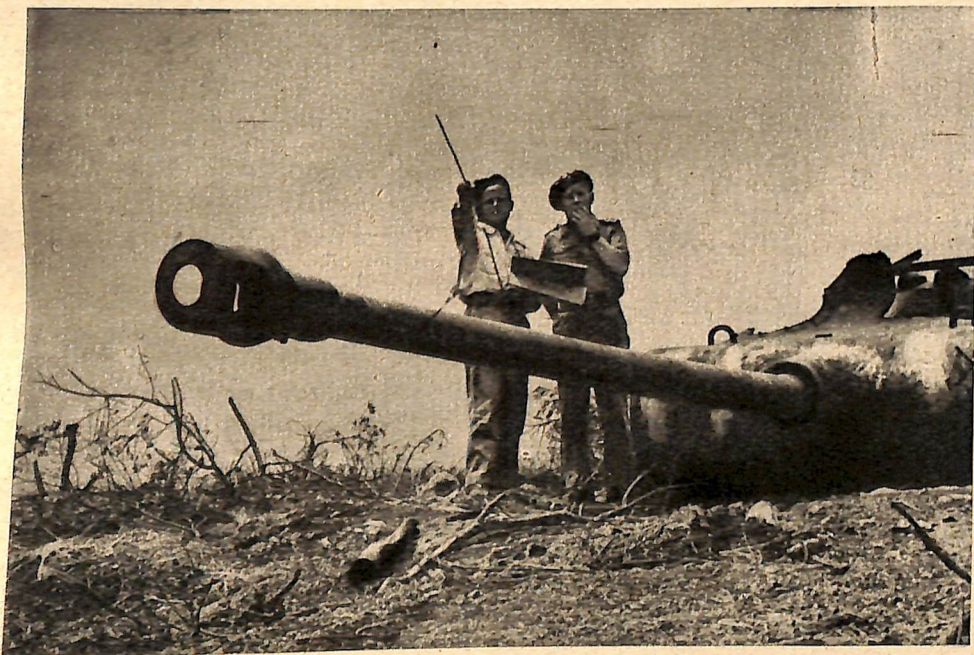
Mimo woli ciśnię się na usta inny tytuł, dziś dla nich na tym odcinku właściwszy: „Das Lied ist aus” (skończona pieśń).

Jarosław Żaba

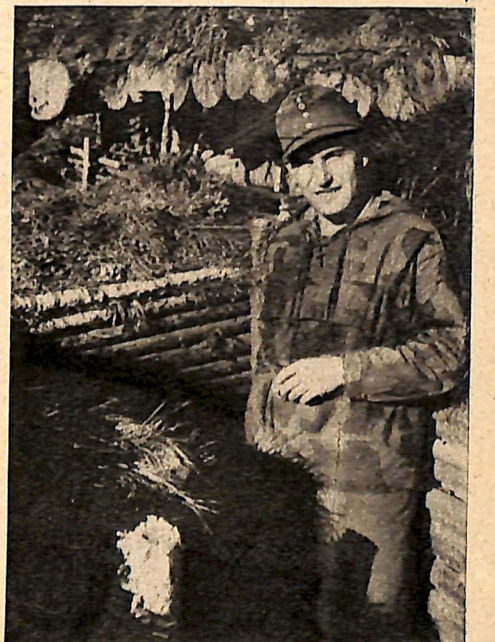
Sanitariusze znoszą rannych



Działa p-panc. na linii Gustawa, zdobyte przez polskie oddziały



Znaleziona przez „Żubrów” fotografia Niemca





W słoneczne popołudnie



Ćwiczenia sanitarne

Dowódca Jednostek Terytorialnych w Palestynie wręcza odznakę szkolną



MŁODSZE OCHOTNICZKI

Trudno, wręcz nie podobno je poznać, te junaczki, które chwając się z wyczerpania i chorób patrzyły w oczy generałowi Andersowi na pierwszym przeglądzie Szkoły Junaczek w lipcu 1942 r. Były to początki szkoły, która prawne podstawy istnienia otrzymała 20 maja 1942 r. w Guzarze rozkazem generała Andersa. Dzisiaj zmieniła się nie tylko nazwa (zamiast junaczek są młodsze ochotniczki), ale i wszystko. Dziewczęta w mundurach są silne, zdrowe, pełne radości życia. Dwuletnia praca szkolna, prowadzona w polepszających się stale warunkach, coraz bardziej systematyczna, wyraża się w wynikach szkolnych i odbija się także w postawie, w oczach tych setek dziewcząt, które w mundurze żołnierskim uczą się i coraz liczniej, po promocjach i egzaminach, przechodzą do szeregów Armii, której przecież są dziećmi. Armia powołała do życia szkoły junaczek i junaków, zapewniła im możliwości rozwoju i ciągle jeszcze daje stałą opiekę. Dzisiaj młodsze ochotniczki mieszkają i uczą się w Nazarecie, w pięknym biblijnym miasteczku, coraz bardziej polonizowanym, najpierw przez najmłodszych szkrabów junackich, teraz i przez nasze dziewczęta, które noszą znak „Żubrów” na ramionach. Dwulecie istnienia organizacji szkolnej junaczek obchodzono w Nazarecie bardzo uroczyście. Był więc przegląd szeregów młodszych ochotniczek, dokonany przez Dowódcę Jednostek Terytorialnych płk. O., była defilada przy dźwiękach orkiestry kadetów, były rozrywki świetlicowe i Wieczór Mickiewiczowski, a przede wszystkim — wszystkie młodsze ochotniczki otrzymały specjalną odznakę, przyznaną szkołom przez zastępcę Dowódcy APW gen. Tokarzewskiego. I już z tą odznaką (ciemna patka na ramieniu obwiedziona kolorowym otokiem) zaprezentowały się dziewczęta na defiladzie. Z jednej szkoły powstało już tyle: liceum ogólno-kształcące i pedagogiczne, gimnazjum ogólno-kształcące i kupieckie oraz szkoła powszechna. W Nazarecie, mieście Chrystusowym, rozpoczynają trzeci rok nauki i pracy, z tą tęsknotą w sercach, którą na tablicy pamiątkowej, wmurowanej w kościele św. Józefa, uwieczniły słowami: „Zwróć Ojczyźnie naszą wolność i nam wolnymi do Niej powróć pozwól. — Szkoła Młodszych Ochotniczek P. S. K. — 20.V.1944 r.”.



Klasa VII szkoły powszechnej



Z kompasem i mapą w terenie



Maturzystki

Gimnastyka poranna

W świetlicy gimnazjum kupieckiego



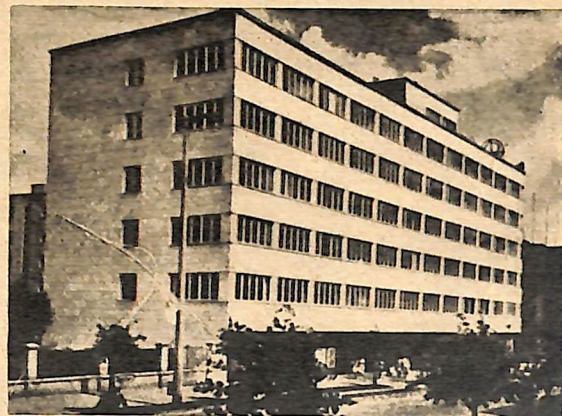
Str. 2: fot. Keystone
 Str. 4, 5 i 6: fot. „Associated Press Photo” i „Illustrated”
 Str. 7: fot. „Parade”
 Str. 8: fot. New Zealand Dptm. of Int. Affaires
 Str. 9: fot. Chruściel, Szumański
 Str. 10 i 11: fot. inż. W. Ostrowski, Jaworowski, Chruściel
 Str. 12: fot. Brzeski, Szumański
 Str. 14: fot. PCK Indie
 Str. 20: fot. Keystone

Układ graficzny:
 JERZY MŁODNICKI



M/S „Piłsudski” przy Dworcu Morskim w Gdyni

G D Y N I A i G D A N S K



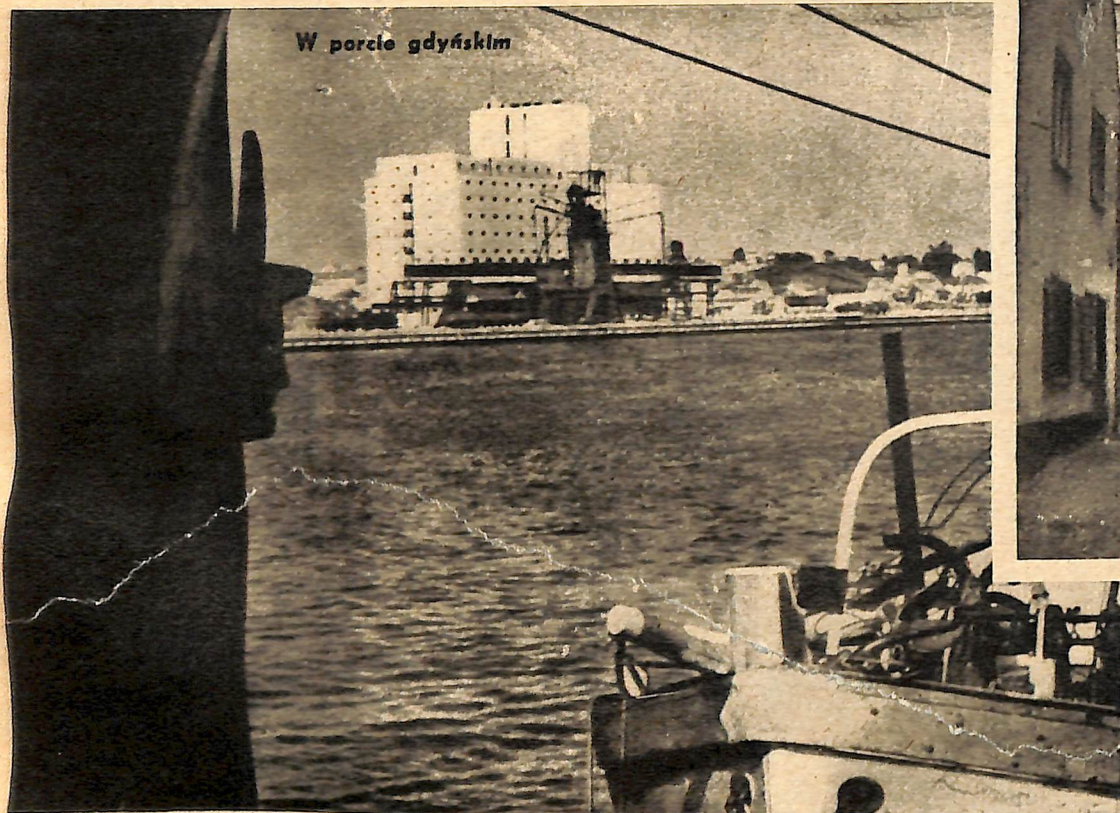
„Podwórko Zakonnice” w Gdańsku

Gdynia — ulica 10 Lutego

Zdolność i wola życiowa odrodzonego Państwa Polskiego przywróciła Gdańskowi wielką część dawnego dobrobytu, który powstawał przecież dzięki ściśtemu związkowi z Polską. Przed pierwszą wojną światową obrót roczny portu gdańskiego nie przekraczał 2.500.000, kiedy przed obecną wojną wynosił już ponad 7.000.000 ton. Z prowincjonalnego miasta i trzeciorzędnego portu na Bałtyku stał się ożywionym i rozwijającym się miastem, wielkim portem o wzrastających możliwościach, tylko i wyłącznie dzięki włączeniu do polskiego organizmu gospodarczego. Rozwój taki dokonał się wbrew polityce Berlina, kierującego dowolnie „Wolnym Miastem”: wytyczne niemieckie, realizowane przez gdańskich kacyków w istocie hamowały rozwój Gdańska, a premiowały pośrednio... Gdynię. Gdynia nie była Gdańskowi konkurentem. Z wioski rybackiej koniecznością państwową i wolą narodu do wielkiego portu dźwignięta, w roku 1938 legitymuje się już obrotem rocznym 8.712.000 ton. Jest pierwszym portem na Bałtyku, jednym z pierwszych w Europie. Pomyślny rozwój Państwa Polskiego szybko wykazuje nieżyciowość pytania „Gdynia, czy Gdańsk”, zamieniając je na stwierdzenie „Gdynia i Gdańsk”. Pomimo wąskiego skrawka posiadanej wybrzeża, przez Gdynię i Gdańsk w 1938 r. przechodzi 77 proc. handlu zagranicznego Polski. Gdynia i Gdańsk, dwa porty, tylko o 20 km od siebie oddalone, nie konkurujące, a uzupełniające się, były już właściwie jednym wielkim kompleksem. Ta wspólnota portowa nie wystarczy jednak Polsce powojennej, zwłaszcza, że liczyć się trzeba z obrotami dalszego zaplecza, innych państw środkowo-europejskich. W ciągu 20 tylko lat wykazaliśmy na odcinku morskim, w warunkach maksymalnie niekorzystnych, że chociaż bez morskiej tradycji, potrafimy być narodem — morskim. Włączenie do Polski Prus Wschodnich jest dla nas koniecznością również gospodarczą. Porty Prus z Królewcem na czele uzupełnią kompleks portowy Gdyni i Gdańska.



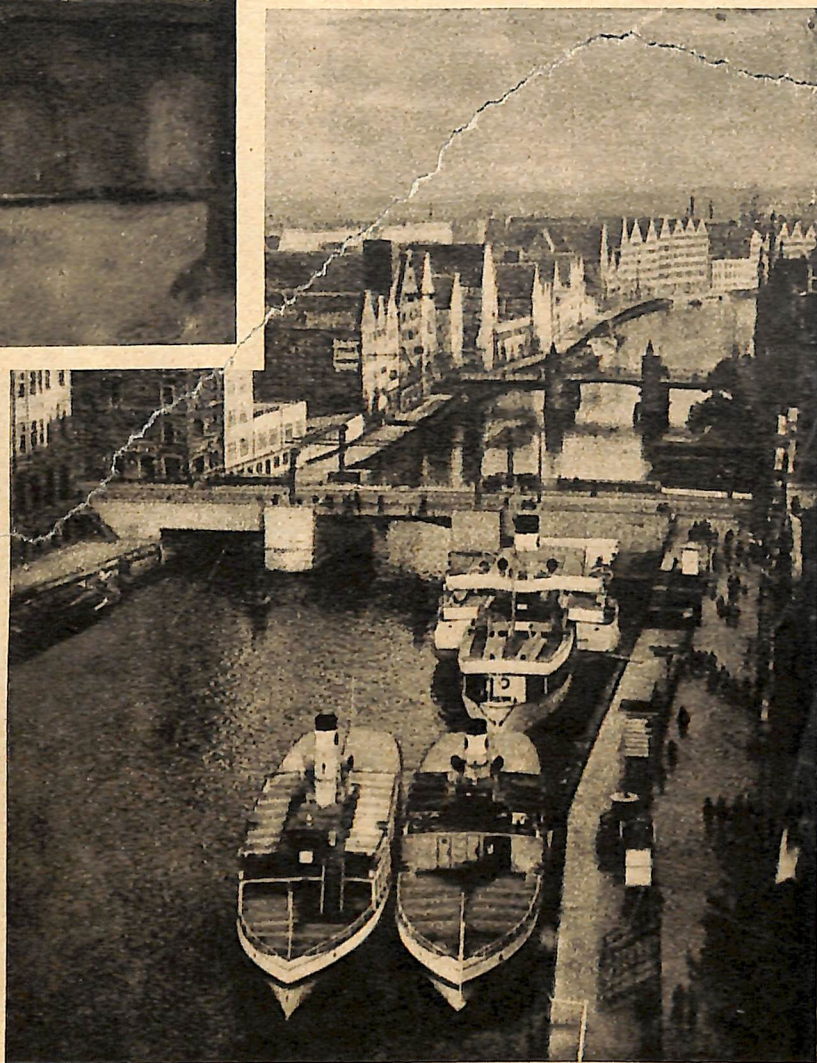
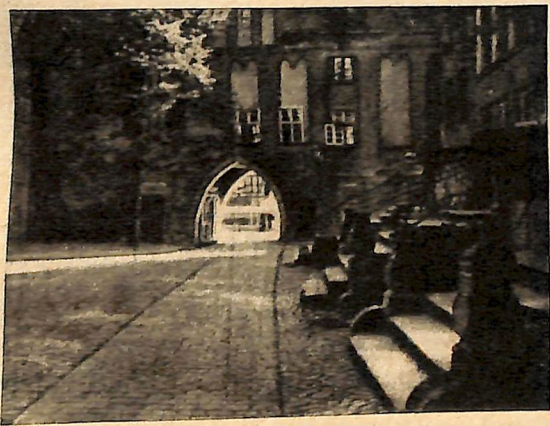
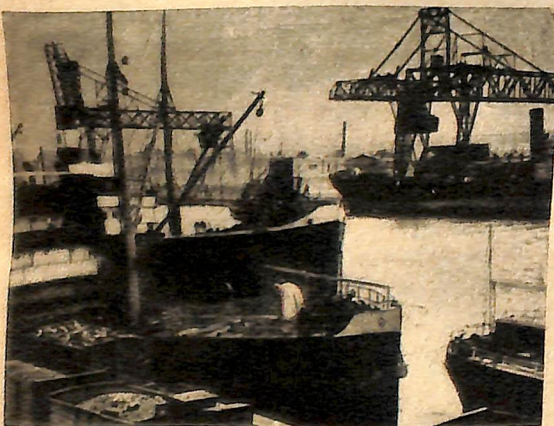
Orzeł Polski u wejścia do Dworu Artusa
Stare uliczki prowadzą do Motławy

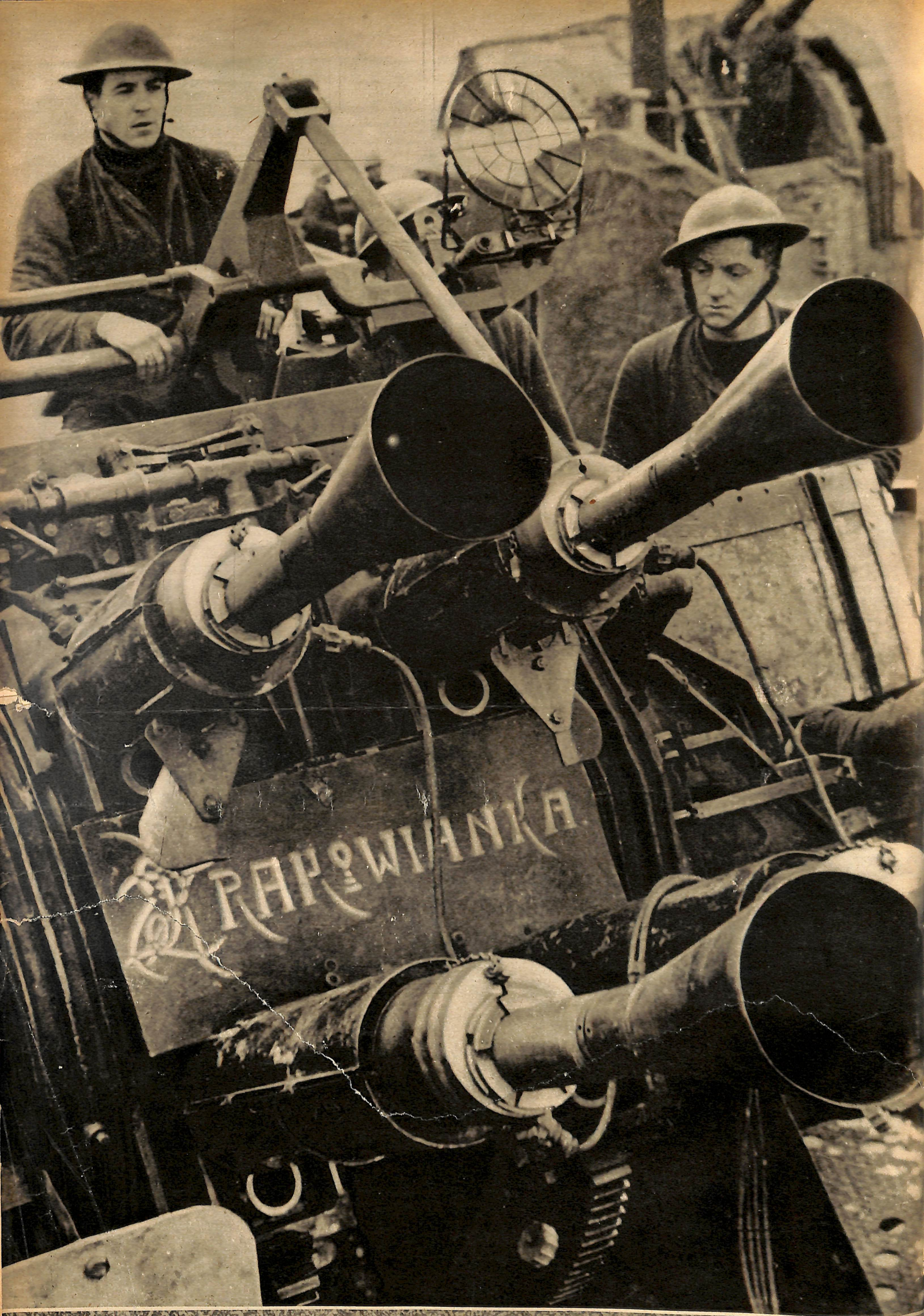


W porcie gdyńskim

Fragment portu gdańskiego

Przedproża gdańskie





POLSKA WALCZĄCA NA MORZU